

POLSKA MIEDŹ

ISSN 0239 2024

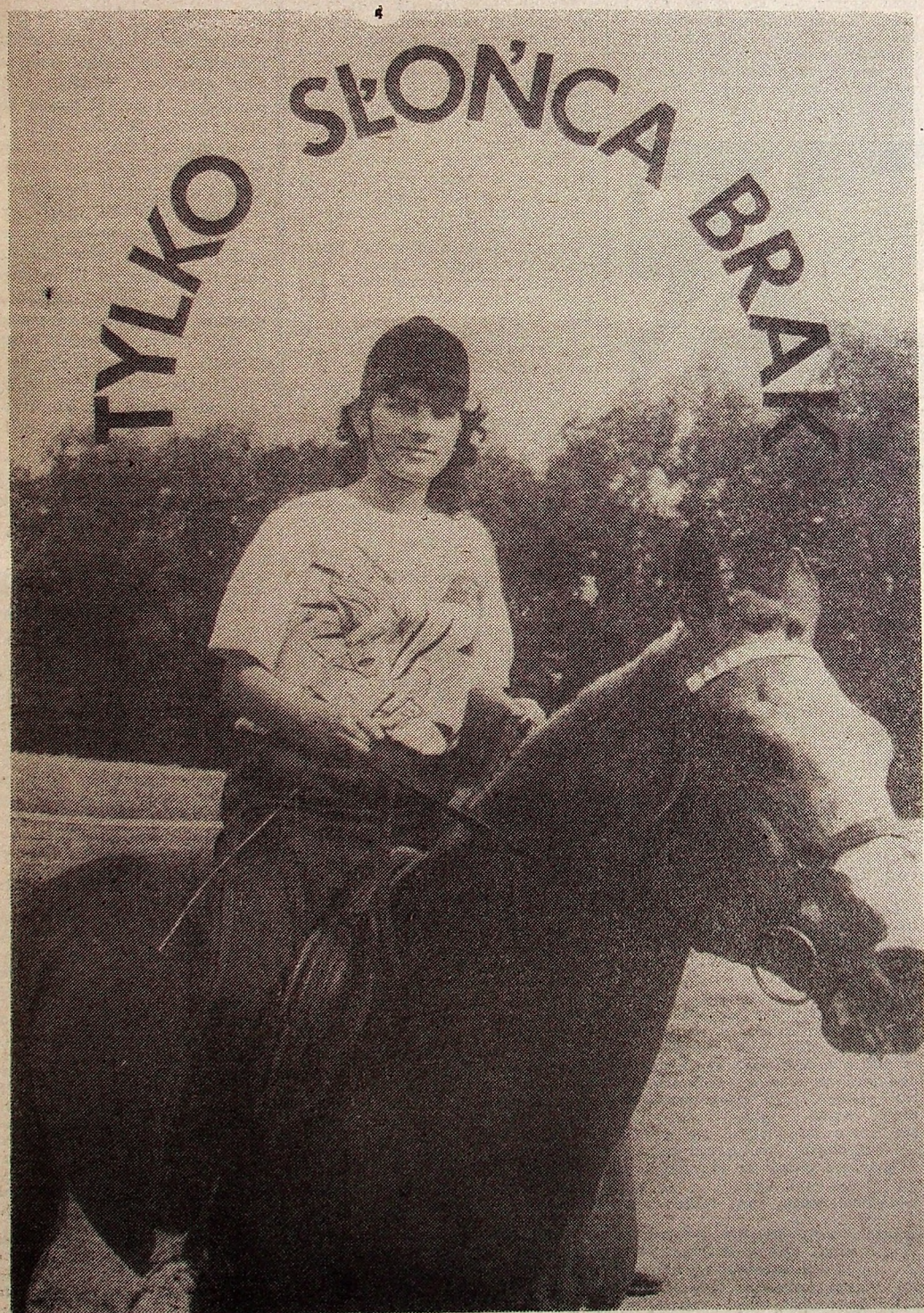
WALCIE, MYŚLA, ŚMIAŁO,
DOPÓKI CZUJĘ SIĘ DEMOKRATĄ!



Rok VII, nr 34 (337)

24 X 1989 r.

Cena 60 zł



W obozie wszyscy spoglądają w niebo. Będzie padać czy też zza chmur wyjdzie słońko? Nawet wielki szaman nie wie jaki skutek odniesie jego modły. W ubiegłym tygodniu zanosił wołania o słońce, a ciągle padało, więc może teraz domagać się wielkiej wody? Jeśli znów nie będzie słońca niepewny jego los. Współplemieńcy posyłają delegację do seryfa, może władza załatwi parę pogodnych dni, bo poza słońcem uczestnikom obozu organizowanego przez Zarząd Zakładowy ZSMP Huty Miedzi „Głogów” niczego nie brakuje.

Obóz (a właściwie indiańskie obozowisko, w którym nad wejściem do każdego namiotu umieszczono tabliczkę z „wizytówką” aby każdy wiedział, gdzie mieszka na przykład Długie Pióro czy Zielony Jeleń) położony jest na terenie ośrodka szkoleniowo-wypoczynkowego Wojewódzkiego Zarządu Kółek Rolniczych w Gorzowie. I jest to miejsce wspaniale wybrane. Kilka kroków dzieli namioty od jeziora o idealnie czystej wodzie, podobno nadającej się nawet do celów spożywczych. Wokół ośrodka zdrowe, gęste lasy, a kilkanaście kilometrów dalej rozciąga się Pszczewski Park Krajobrazowy.

Ośrodek już od pierwszej chwili pobytu robi dobre wrażenie. Wszędzie czysto, zadbane trawniki, rabatki. Kilka budynków mieszczących część hotelową i gospodarczą lśni świeżą bielą. Jadalnia czysta, urządzona z pomysłem i smakiem, są też sale gier, służące poza sezonem do prowadzenia zajęć seminaryjnych.

W ośrodku przebywają teraz turyści z całej niemal Polski. Na parkingu różnorodne rejestracje — katowicka, warszawska, szczecińska. Na wyznaczonych placach namiotowych biwakują zorganizowane grupy i trochę turystów indywidualnych. W sumie w pierwszej połowie sierpnia wypoczywa tu 300 osób, tłoku nie ma. Panuje spokój, cisza i tylko wieczorem słychać śpiew przy ognisku. Zapytani o to jak udaje się utrzymać na terenie ośrodka taką dyscyplinę, prowadzący obiekt od sześciu lat Urszula i Wiesław Irzyńscy zgodnie orzekli, że zawsze mają wspaniałych turystów, bowiem... jeśli raz ktoś przyjedzie i nie potrafi się przystosować więcej lokum tu nie znajdzie. Do ośrodka WZKR w Pszczewie trafiają więc prawdziwi wczasowicze i turyści.

Młodzieżowy — w tym roku stylizowany na indiański — obóz odbywa się tu już po raz czwarty. Pierwszą organizacją młodzieżową z głogowskiej huty zorganizowała w 1979 roku. Swoje namioty rozbili na łączce w Olejniczy. Warunki panowały tam spartańskie — na posłanki chodzi-

Pismo KGHM. Wydawca: Wrocławskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Podwale 62, 50-011 Wrocław. Redakcja „Polskiej Miedzi”. Lubin, ul. M. Skłodowskiej-Curie 66, tel. 46-46-46, redaktor naczelny 46-10-20, sekretariat 46-10-25, sekretarz redakcji i pokój redaktorów 46-10-21. Zespół: Włodzisław Banaś, Janusz Dobrzański, Lucyna Haluch, Stanisław Jabłoński, Bożena Koncewicz, Jan Kurasz (red. naczelny), Bogusława Machowska, Barbara Machnicka, Mieczysław Machnicki, Maria Sambońska (sekr. redakcji, z-ca red. naczelnego), Danusia Samiec, Stanisław Srokowski, Korekta: Małgorzata Janicka, Urszula Włodarska. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Wrocław, ul. P. Skargi 3/5. Prenumerata: placówki RSW „Prasa-Książka-Ruch” i urzędy pocztowe. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca, zastrzega sobie prawo do skrótów. Zam. 2098/87. F-11.

● **Przed kilku laty drażyłeś tunele kolejowe w Algierii, a co teraz porabiasz?**

— Kieruję budową tuneli drogowych w Turcji, w rejonie Izmitu. Jest to jeden z placów budowy wielkiej inwestycji, jaką jest autostrada Istambul — Ankara. Realizacja tego przedsięwzięcia zajmuje się spółka kapitałowa turecko-włosko-japońska, ale na tym przegromnym placu budowy znajdują się firmy nieomal z całego świata, które wykonują różne prace specjalistyczne. Z głównych przedsiębiorstw można wymienić włoskie Impregilo oraz tureckie STFA, które zajmują się budową wiaduktów i nawierzchni dla autostrady. Wszyscy przyjechali z najnowocześniejszym sprzętem, aby robotom nadać wysokie tempo. Inwestycja jest realizowana w bardzo trudnych warunkach, na terenach górzyszych, cała budowa to niemal zespół tuneli i wiaduktów.

● **Powiedz coś więcej o udziale Polaków w tej inwestycji.**

— Odcinek, w budowie którego uczestniczymy, wynosi 217 km, co stanowi połowę autostrady. Grupa polska ma do wykonania cztery tunele. Nasza strona występuje tu pod egidą Gwarectwa Budownictwa Górniczego w Katowicach oraz Centrali Handlu Zagranicznego „Kopex”, przy czym trzon 150-osobowej załogi polskiej stanowią górnicy z Zakładu Robót Górniczych Wałbrzych i Zakładu Budowy Kopalń Lubin. Z pierwszą sześcioosobową grupą pracowników zjawilem się tutaj 17 kwietnia 1988 r. Później przyjechało 23 górników i w maju rozpoczęliśmy roboty. Dwa pierwsze tunele są już wykonane w wymiarze, jeden z nich liczy 604 metry, a drugi — 583. Obydwa znajdują się na odcinku autostrady omijającej Izmit, bo trzeba wspomnieć, iż istnieje tam też druga droga szybkiego ruchu, biegnąca jednak przez to miasto. 23 kwietnia br. przystąpiliśmy już do drażenia dwóch kolejnych tuneli, z których każdy ma mieć około kilometra długości. Zgodnie z harmonogramem, mamy oddać owe cztery tunele w ostatecznej obudowie i kompleksowo wyposażone do końca 1990 r. Jak na razie — odpukać w niemalowane drzewo — nie notujemy żadnych opóźnień.

● **Miałem okazję widzieć na własne oczy, jak budowaliście tunele kolejowe w Algierii, czy te tureckie realizowane są w taki sam sposób?**

— Jak już wspomniałem, tunele drażone w Turcji zaliczone są do bardzo trudnych robót. Przy ich budowie — zgodnie z wymogami postawionymi przez austriacką firmę projektową Geconsult, której przedstawiciele prowadzą też nadzór — narzucono nam określona technologię, która najlepiej odpowiadała istniejącym warunkom.

● **Co to za technologia, czy znaliście ją wcześniej?**

— Nosi ona nazwę: „Nowoczesna Austriacka Metoda Tunelowa”. Znaliśmy ją wcześniej, ale tylko z literatury. Z opanowaniem tej technologii nie mieliśmy najważniejszych kłopotów, jako że jest ona bardzo zbliżona do metody stosowanej przez nas w Algierii, aczkolwiek pewne roboty, jak np. torkretowanie, wykonywane są inaczej. W tunelach algierskich robiono torkret metodą mokra, polegającą z grubsza na tym, iż zaprawę z wodą miesza się w węże i wtedy podaje do torkretnicy. Tutaj natomiast do maszyny sypie się suchą masę, a połączenie jej z wodą następuje dopiero w dyszy. Muszę powiedzieć, że ta druga metoda jest oszczędniejsza, bo w przypadku jakiegś awarii suchy torkret można wybrać i ponownie użyć, a przy technologii na mokro cała masa musi być uśnięta.

● **Przywieźliście z sobą polskie maszyny, czy pod względem wyposażenia technicznego, a także organizacji i jakości pracy nie odbiegacie od zagranicznych firm?**

— Nie cierpimy na kompleks ubożego krewnego. Nasz sprzęt górniczy zdaje w tamtejszych warunkach w pełni egzamin. Robimy szybko i solidnie. Przyjeżdżają przedstawiciele innych firm, często gościmy dziennikarzy tureckich, którzy interesują się naszą robotą i muszą powiedzieć bez zarzekaństwa, iż spotykamy się z komplementami. Żadnych zastrzeżeń co do terminowości i solidności nie zgłasza też nadzór inwestorski, projektowy, ani władze tureckie wykazujące duże zainteresowanie tą inwestycją, w tym zwłaszcza tunelami. Pod względem zaangażowania w pracę i tempa jej wykonywania, nasza załoga należy do wyróżniających się.

● **Czy tam, w Turcji, spotykacie się też z kłopotami, tak charakterystycznymi dla polskich budów?**

— I tam życie nie jest bezproblemowe, choć są to trudności innego rodzaju niż w Polsce. Ale i na tamtejszej budowie występują kłopoty np. z torkretem, bo pobieramy go na węże, gdzie zapotrzebowanie się w ten materiał inni wykonawcy robót betonarskich. Dają się we znaki awarie elektryczne na sieci przesyłowej oraz brak wody.

● **W swojej grupie masz nie tylko górników z LGOM, ale i zagłębia wałbrzyskiego, a nawet Turków. Co możesz o nich powiedzieć, jak układa się współpraca?**

— Z KGHM jest około 60 ludzi, są wspaniałymi fachowcami. Ocena ta nie jest bynajmniej poddyktowana patriotyzmem lokalnym. Po prostu, lubinianie potrafią obsługiwać każdą maszynę, bo obeznali się z nowoczesną techniką w zagłębiu miedziowym, nie jest im też straszna żadna robota. Wałbrzyscy górnicy, którzy na co dzień nie obcowali z takimi maszynami, mieli na początku pewne kłopoty, ale teraz spisują się całkiem nieźle. Zatrudniamy 50 Turków, głównie w obsłudze kampu, kuchni, na stanowiskach kierowców i mechaników. W samych superlatywach mogę mówić o tureckich kucharzach. Wcześniej troszczyli się oni o żoładki amerykańskich marynarzy i żołnierzy, bo niedaleko Izmitu znajduje się baza wojskowa USA. Turcy są na ogół dobrymi pracownikami i ludźmi — bardzo żywiliwymi. W stosunku do Polaków okazują wyjątkową gościnność i serdeczność, co ma swoje historyczne podstawy. Warto przypomnieć, iż Turcja była jedynym krajem, który nie uznał rozbiórów Polski. Początkowo tubylcy brali nas za Włochów, ale gdy usłyszeli mowę polską, od razu zmienili ton i zaczęli natychmiast wypytywać o Wałkę, który jest tam osobą bardzo popularną. Turcy są urodzonymi dyskutantami. Rozmawialiby dzień i noc. Ulubionym miejscem takich dysput są czynne przez całą dobę herbaciarnie. Ludzie z różnych grup narodowościowych, a w Turcji żyją też m.in. Kurdowie, Arabowie, Grecy, Ormianie, Gruzini, Czerkiesi, spędzają czas w swoim gronie przy herbacie, grze w kości lub na kortach. Inną rzeczą charakterystyczną jest to, iż gdy przedstawiciel jakiegś narodu zostanie przyjęty do pracy, od razu ciągnie swych pobratymców.

● **O samej Turcji i jej mieszkańcach jeszcze porozmawiamy. Powiedz nam jeszcze o warunkach**

byłowania twoich ludzi, bo sprawa na dobrej kuchni się nie kończy.

— Mieszkamy w dwóch kam-pach, w jednym przebywają Polacy i Turcy, w drugim tylko my. Pracownicy mieszkają w trzyosobowych pokojach. Łazienki, toalety są wspólne. Standard wyposażenia jest dobry. W budynku socjalnym, poza stołówką, jest świetlica, sala telewizyjna i bufet. Wyżywienie — jak wspomniałem — jest bardzo dobre, choć opiera się głównie na wołowinie.

● **A Polak lubi wieczorninę...**

— Jak go już bardzo przyduś, to może pojechać do starej polskiej wsi Polonezkóy, noszącej dawniej nazwę — Adampol, leżącej 60 km od Istambułu. Do dziś w tej obecnie turystycznej miejscowości żyją potomkowie powstańców listopadowych, których ksiądz Adam Czartoryski wykupił z carskich więzień. Jeździmy tam od czasu do czasu nie tylko po to, by zaserwować sobie schaboszczaka, ale przede wszystkim zapoznać się z pamiątkami polskiej kultury i tradycji. Żyj tam już przeważnie Polacy w podeszłym wieku, bo ich dzieci rozjechały się. Przed 2 laty zmarła wielce zasłużona obywatelka Polonezkóy p. Zofia Ryży, w jej domu urządzono muzeum. Byliśmy w tej placówce, podobnie jak i na grobie Ludwika Śniadeckiego. W dniu Święta Zmarłych zjeżdżają tam Polacy z różnych zakątków Turcji



Tunele dla Turcji

Z mgr. inż. Janem Hawryszem z Zakładu Budowy Kopalń w Lubinie, rozmawia Jan Kurasz

● **Widzę, że dbacie o życie duchowe, a nie tylko o żołądek.**

— Oczywiście. Raz na dwa tygodnie przyjeżdża do nas z Istambułu polski ksiądz, który w klubie odprawia dla pracowników nabożeństwo. Z okazji Barbórki odbyła się i msza święta, i karczma piwna. Obie uroczystości miały miejsce w wydrążonym przez nas tunelu. Urzeczeni byli zwłaszcza goście, a było ich sporo. W spotkaniu gwareckim przy kuflu piwa uparty się wziął udział nawet zony Turków i Włochów. Ze względu na „protokół dyplomatyczny” — bo towarzystwo było międzynarodowe — musieliśmy się na to zgodzić. Wielkim świętem polsko-włoskim było zbiecie tunelu nr 2. Zjechały władze tureckie, szefowie dyrekcji. Zoną naszego radcy handlowego, p. Neyowa ochrzciła tunel. A później odbył się polsko-włoski bankiet na 300 osób. Takie chwile — po ciężkiej robocie — miło się wspomina. Co jeszcze robimy w wolnych chwilach? W kampie ogląda się telewizję, czyta książki, gra w pingponga, „szlifuje” język turecki (opanowałem go dość dobrze w ciągu paru miesięcy), dyskutuję przy małej czarnej, lampce wina czy koniaku. Jeździmy także na wycieczki. A jest tam co zwiedzać, co krok spotyka się historyczne zabytki związane z chrześcijaństwem, i z islamem. Są one jednak bardzo zaniedbane.

● **A jak wygląda współczesność tego państwa?**

— Z chwilą wejścia do EWG co stało się w 1983 r., Turcja zaczęła przeżywać boom inwestycyjny. Napłynął kapitał i potencjał z Zachodu. Spotkać tutaj można najpotężniejsze firmy z całego świata, które zakładają swoje filie. W Turcji, wyłącznie na potrzeby miejscowego rynku całą gamę samochodów wytwarzają ta-

kie koncerny, jak FIAT, Mercedes, Renault. Gdzie okiem nie sięgnąć, wszędzie coś się buduje. Powstaje mnóstwo bloków mieszkalnych, willi, magazynów handlowych. Ale ze znalezieniem pracy są problemy. Szczególnie wczesną wiosną zaczyna się „polowanie” na robotę. Ci, którzy nie mogą znaleźć zatrudnienia w kraju, wyjeżdżają na Zachód, niektórym pozostaje żebractwo. Widać ogromne kontrasty społeczne, które zresztą się pogłębiają, jednym powodzi się coraz lepiej, drudzy ubożej. Turcja ma więc do rozwiązania jeszcze wiele problemów, zwłaszcza, iż napływa do tego kraju sporo uchodźców z Iranu, Iraku i Afganistanu, nie mówiąc już o masowym wyjeździe Turków z Bułgarii. Ciagle nie jest stabilna sytuacja polityczna, czego najlepszym potwierdzeniem są wojskowe posterunki przed urzędami i instytucjami publicznymi, jak również zdarzające się, i to wcale nie tak rzadko, morderstwa. W wielu miastach — jak się słyszy — działa zbrojna opozycja.

● **I co, po urlopie w kraju, myślisz wracać do Turcji?**

— Tak. Liczę, że w lutym — marcu przyszłego roku skończymy drażnienie tuneli i wtedy zacznie się pomalu szykować do powrotu, na co z utęsknieniem czeka rodzina. Do dłuższego pozostania na tureckiej ziemi nie skusi mnie nawet ponętna oferta od poważnych zagranicznych przedsiębiorców, którzy mają o polskich inżynierach bardzo dobre zdanie. W końcu żonie i dzieciom też się coś ode mnie należy.

● **Dziękuję ci za rozmowę i życzę szczęśliwego doprowadzenia tureckiej inwestycji do końca.**

Z panem Mieciem, prywatnym handlarzem walutą, rozmawia Janusz Dobrzański.

● Nie chciał pan podać nazwiska. Boi się pan milicji?
— Milicji? Dlaczego?

● Jak to, dlaczego? Przecież pańskie zajęcie — delikatnie mówiąc — odbiega od przepisów regulujących obrót dewizami. Stoi pan przed wejściem do kantoru wymiany PKO, robi niezdrową konkurencję, może dolary ma pan fałszywe...

— Ja, fałszywe? Panie, byłbym skończony! Ja z tego interesu żyję jak lord i nie będę ryzykował dla paru parszywych ziółówek za podrobiony zielony papier. Ja jestem zawodowcem, a nie przy-padkowym detalistą, któremu, dajmy na to w Budapeszcie, wciśnęli fałszywą pięćdziesiątkę i on chce się jej pozbyć za wszelką cenę. Nie przeczę, to się może udać i to się udało. Ale ja tu jestem codziennie i mój interes musi być uczciwy.

● A więc nie boi się pan milicji?

— Oczywiście, wolę nie mieć z nią do czynienia. Ale jeszcze bardziej wolę unikać włączenia w oczy Izbie Skarbowej. Gdybym dał się złapać, obdarliby mnie ze skóry.

● Z milicją można się dogadać?
— Tego nie powiedziałem.

● To co chciał pan powiedzieć?
— Ze to, co robię jest ryzykownym interesem.

● Ale się oplaca?
— Bardzo.

● A konkretniej?
— Konkretniej? Panie, nie bądź pan dzieckiem! Ile lat pan pracuje?

● W tym zawodzi?
— Choćby.

● Piętnaście.
— No właśnie. I czym pan jeździ?

● Niczym.

— Widzi pan! Ja przepracowałem ponad dwadzieścia lat w górnictwie. I miałem takie samo g... jak pan. Dziś stwierdzam, że byłem ciężkim idiotą. Zmarnowałem kawał zdrowia i życia na pracę dla idei. Gdybym zajął się tym interesem wcześniej, nie byłbym takim dziadem, jak byłem.

● Jest pan cyniczny.

— Ja? To państwo jest cyniczne. Ja jestem pragmatykiem. A co, chce mi pan prawić morały? Są warunki do robienia pieniędzy — to ja je robię. Moralizowanie, to raczej pańska specjalność.

● Nie o to chodzi. Nie potępiam pana. Ale — powiedzmy sobie szczerze — teraz są warunki, do zalegalizowania pańskiego interesu. Dlaczego nie otworzy pan prywatnego kantoru wymiany walut? Przestałby pan ryzykować!

— Panie, pan jesteś jak duże dziecko. Po co mi ten „luksus”? On by mnie za drogo kosztował. Po pierwsze — znajdź pan w tym mieście odpowiedni lokal. Po drugie — załatw pan przydział, albo kupno. Ja już nie mówię o kosztach „smerowa” urzędników, ale o strasznej biurokratycznej mitredze. Potem wyposaż pan ten lokal, plać pan czynsz, staraj się o koncesję, użeraj się pan z kontrolami, trać pan czas na buchalterię, plać pan podatki! Panie, ja nie jestem idiotą! Ja sobie tu stoję i to mnie nie kosztuje ani grosza. A więc po co ja mam siedzieć w okienku i za to płacić?! Mnie tu jest bardzo dobrze i nie chce tego zmieniać. Modlę się, żeby to trwało jak najdłużej.

● Nie boi się pan oficjalnej konkurencji? Powstaje coraz więcej kantorów wymiany.

— To nie jest konkurencja i jeszcze długo nie będzie. Wejść pan do kantoru, przed którym stojmy, i kup pan choć jednego dolca. Kupisz pan — dam dzie-siątkę w prezencie od „firmy”. Pan myśli, że po co ja tu stoję? Człowiek przychodzi do kantoru, a tam mu mówią, że dolarów nie ma i nie wiadomo kiedy będą. A on, dajmy na to musi kupić już, natychmiast. No więc on przycho-dzi do mnie, bo ja mam zawsze, każdą sumę.

● Ale drożej niż w kantorze!

— Panie, drożej, taniej — jaka to różnica. Dla człowieka, który jest potrzebujący, stówka w lewo czy w prawo, to bez znaczenia. Dla nłego się liczy jest, albo nie ma. Kantor nie ma, ja mam — zwyciężajna konkurencja.

● Kantory wciąż z wami przegrywają. Dlaczego?

— I będą przegrywać. Ja zawsze przebiję kurs w kantorze, bo moje koszty własne — to ja. Ta-

da, że przytrafiło mi się to tak późno.

● Dzięki nieszczęściu wszedł pan do świata ludzi interesu? Jak to się zaczęło?

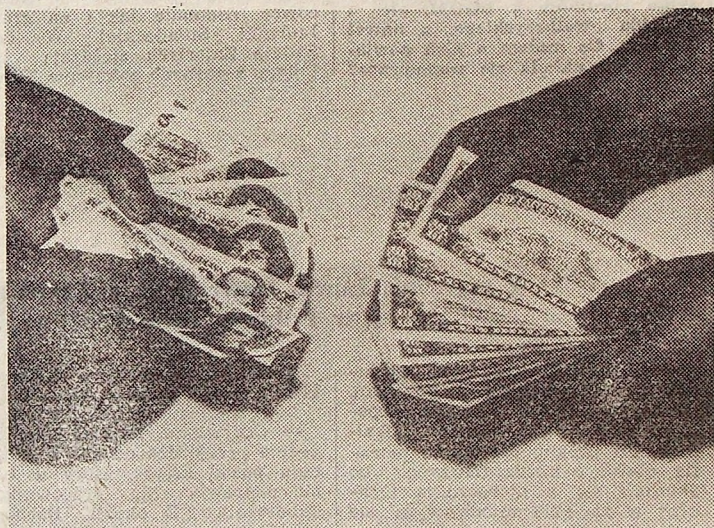
— Zwyczajnie. Pojechałem na saksy do Bundesrepublik. Pracowałem kilka miesięcy Inni gospodarze kupowali mercedesy, telewizory, widea, duperele. Ja kupiłem tylko „chodzonego” golfa. Przywoziłem kilka tysięcy marek i trochę dolców. I to był mój kapitał zakładowy. A zaczęło się od sąsiedzkiej przysługi. — Panie Mieciu — spytał sąsiad — nie ma pan paru dolców do sprzedania? Miałem, sprzedałem, przekalkulowałem. Myślę sobie, cholera, z procentów w banku będę miał wielkie g..., a jak zaczął obracać go-tówką, to będzie z tego wielka for-sa. No i jest.

● Na czym właściwie polega istota tego interesu?

— Na czym? Tanio kupić, drożej sprzedać!

● Zgadza się, ale saldo wychodzi w złotychkach.

Żyje jak lord



Fot. C. Baka

ki kantor musi zarobić na czynsz, na podatek, na urzędników, na dyrektora i diabli wiedzą kogo jeszcze. Rządzi tam biurokracja, zanim zmienia kurs wypieniąją tony papierów, medytują, podpisują, zatwierdzają. Ja decyduję natychmiast. Jeśli trafi się dobry klient, na kilka „paczek”, to ja mu nawet dam rabat i dostarczę walutę do domu.

● Jakie są pańskie miesięczne dochody?

— Nie liczyłem. Jak człowiek obraca dużymi pieniędzmi, to nie przywiązuje większej wagi ile wy-daje na dom. Większość zysków wraca do obrotu. Pan wie, pieniądź robi pieniądź. Myślę, że na dom idzie jakieś pół miliona miesięcz-nie. Nie żalujemy sobie.

● Jeździ pan pewnie mercede-sem?

— Nie, „golfem”. Merc za bardzo rzuca się w oczy. A ja jednak wolę być w cieniu. Ludzie są za-wistni, lubią pisać donosy. Po co mam się gimnastykować przed urzędnikiem skarbowym, żeby wy-jaśnić rzeczowo to, co wyjaśnić się nie da. Pan zna jakiegoś ren-cistę jeżdżącego mercedesem?

● Jest pan rencista?

— Tak, od trzech lat. Przedtem pracowałem w górnictwie, miałem wypadek, no i da-lej potoczyło się normalnie. Na początku byłem zrozpaczony. Nie widziałem świata poza kopal-nią. Teraz nie żałuję. Raczej szko-

— Panie, złotówka to jest dobry pieniądź, tylko trzeba go mieć dużo. A pan co, za granicę nie jeździ? Głupie pytanie, kto dziś nie jeździ. Był pan ostatnio w Sojuszu?

● Byłem, w ubiegłym roku.

— Po ile były dolary?

● Po siedem, osiem rubli.

— Chwyta pan. Rzecz jest w przebiegu. Ja tutaj kupuję chodli-wy towar za złotówki, tam sprze-daję za ruble, a za ruble kupuję dolary. W ten sposób koszt zdoby-cia dolara mam na poziomie jed-nej trzeciej wolnorynkowego kur-su w Polsce, w najgorszym przy-padku wychodzę na pięćdziesiąt procent. Jest interes? Jest. A spo-sobów są dziesiątki. Jak się w to już wejdzie to się samo kręci.

● Mówi się, że wolnorynkowy kurs dolara jest zawyżony.

— Panie, to są głupie gadki. Ja tam ekonomistą nie jestem, ale uważam, że jak coś idzie, to zna-czy, że cena nie jest zawyżona. Gdyby dolar był za drogi, to by leżał w każdym banku. A nie le-ży. I myślę, że jeśli cena skoczy do dziesięciu tysięcy i więcej, a głowę daje, że skoczy, to i tak będzie zbyt. Przy tej inflacji i przy tym rynku nie może być ina-czej. To jest bardzo proste. Założ-my, że masz pan dwa miliony na telewizor. Proszę bardzo, kup go pan w normalnym sklepie. Bę-

dziesz pan kombinował jakieś do-ścia do PZG, albo zapłacisz pan haracz stacjowi kolejkowemu. Jes-li się uda, kupisz pan odbiornik nie najlepszej klasy, a za ciężkie pieniądze. Tymczasem w „Pewexie” w „Baltonie” czy w jakiejś spółce zagranicznej możesz pan nabyć porządny odbiornik już za 200—250 dolarów. Przelicz pan to sobie. Rachunek jest bardzo pro-sły i ludzie potrafią liczyć.

● Krótko mówiąc, nie ocenia pan najlepiej polityki walutowej państwa?

— Ja ją błogosławię, bo dzięki niej żyję jak lord. Inna sprawa, że cała ta polityka to jeden wielki bajzel. Czytałem pan „Gazetę Bankową”? Oni tam dużo pi-szą na ten temat. Popatrz pan ile jest kursów wymiany walut: oficjalny bankowy, turystyczny, na przetar-gach dla przedsiębiorstw, dla gór-ników, dla gości zagranicznych, wolnorynkowych w oficjalnych kantorach wymiany, wolnorynko-wo u mnie, a i tak nie wymienilem wszystkich. W każdym przy-padku dolar kosztuje inaczej. Ja-ki w tym jest sens? O co tu cho-dzi? Kompletna paranoja. Ale ja się z tego cieszę, bo dopóki tak będzie, dopóty będę mógł prowa-dzić mój interes. Nie jest przecież tajemnicą, że ojcem czarnego ry-nku jest bałagan.

● Wszędzie funkcjonuje czarny rynek walutowy, także w krajach zachodnich, a przecież tam jest porządek.

— Zgoda. Tak już jest ten świat urządzony, że człowiek szuka ko-rzystniejszych transakcji i jeśli istnieją po temu warunki, to z nich korzysta. Jednak gdzie in-dziej jest to zjawisko marginalne, incydentalne, bo kursy walut są ustabilizowane, przynajmniej wal-ut podstawowych jak dolar, mar-ka, funt szterling. Amerykanin, który przyjeżdża na wakacje do Hiszpanii, wymieni dolary na miej-scową walutę u recepcjonisty, al-bo u kelnera, jeśli mu taką usługę zaoferują, ale sam nie bę-dzie szukał okazji. U nas jest odwrotnie: większość walut przecieka przez czar-ny rynek. A więc jest to kwestia skali.

● Od czego, pańskim zdaniem, należałoby zacząć porządkowanie naszego rynku walutowego?

— Pan przecenia moje kwalifi-kacje, ja nie jestem ekspertem.

● Skoro robi pan lepsze intere-sy niż niejedyn dyrektor banku to pan nim jest.

— Wolne żarty, ale na mój ro-zum należałoby zacząć od likwidacji sztucznych, ustalonych adminis-tracyjnie kursów walut, które nie mają nic wspólnego z kursem, równowagi. Potrzebna jest giełda walutowa i jeden kurs wymiany. Oczywiście, nie sądzę, aby zniknął czarny rynek, bo to nie zależy tyl-ko od giełdy. Ale to pociągniecie stworzyłoby elementarny porzą-dek. Nie sądzę jednak, aby nasta-piło to szybko. Niedawno słysza-łem wypowiedź ministra Wróblew-skiego. Wypowiadał się bardzo wstrzemięźliwie. Mówił o opla-calności eksportu, kondycji ekono-micznej przedsiębiorstw państwo-wych, które handlują z zagranicą itd. Wynikało z tego, że ucierpiał-by na tym nasz eksport i bilans płatniczy. Nie rozumiem tej argu-mentacji, ale cieszę się z takie-go stanowiska resortu, bo jest to dobra perspektywa dla moich in-teresów. Z mojego punktu widze-nia — im większy bałagan, tym lepiej.

● Po ile będzie dolar u pana Miecia w grudniu tego roku?

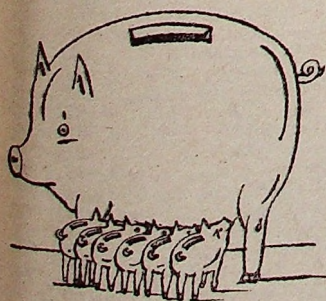
— Przy tym poziomie inflacji może skoczyć nawet do 20 tysięcy.

● Dziękuję za rozmowę.

Wojny prowadzi się w przeko-
naniu, że zwycięstwo oznaczać bę-
dzie wymierne w złocie korzyści.

Jednak zwycięstwo w I wojnie
światowej kosztowało Europę bar-
dzo wiele. Najpierw straciła zło-
to, a później — miano światowe-
go centrum. Złoto, którym płaćta
Stanom Zjednoczonym Ameryki
za dostawy wojenne, ogromnie
wzbogaciło ten kraj. Jeśli w 1913
roku w posiadaniu USA znajdo-
wało się 27 proc. światowych za-
pasów złota, a Europy — 59 proc.,
to w roku 1924 USA zgromadziły
51 proc. zasobów tego kruszcu, a
Europa, łącznie, w bankach i za-
sobach prywatnych posiadała 32
proc. światowego złota.

Późniejsze światowe inflacje, kry-
zys gospodarczy i gigantyczne
bankructwa, spowodowane kryzy-
sem pieniężno-bankowym (pisa-
liśmy o tym w poprzednim numerze
„PM”) doprowadziły do upadku
systemów walutowych poszczegół-
nych państw, ale gigantyczne i
ciągle wzrastające zasoby złota w
bankach amerykańskich, połączone
z decyzjami Roosevelta o wstrzy-
maniu wymiany dolarów na złoto
i zakazie wywożenia tego kruszcu
za granicę sprawiły, że zamożni
Amerykanie stawiali się jeszcze bar-
dziej zamożni. Ustalona wysoka
cena uncji złota (35 dol.) oraz
prawo wymiany dolarów na złoto
przysługujące tylko bankom cen-
tralnym i instytucjom międzynaro-
dowym (przy czym obowiązywał
system zakupu złota w dużych
sztabach, o wadze nie mniejszej
niż 400 uncji) sprawiły, że bogaci
ludzie z całego świata wymieniali
złoto na dolary. W 1934 r. zapasy
złota w USA wzrosły z 4865 milio-
nów dolarów do 7600 milionów
dol. w 1938 r. Rezerwy te gwa-
rantowały pokrycie znajdujących
się w obiegu 5,8 miliarda dola-
rów w 130 procentach, a więc
były trzykrotnie wyższe niż praw-
nie wymagane 40-proc. pokrycie
banknotów dolarowych w złocie.
Takie zasoby umożliwiły USA
prowadzenie obranej polityki —
byli tak bogaci, że świat bez wa-



„Styrszeł”/LRB

hanie oddał im tytuł międzynaro-
dowego bankiera i hegemonu.

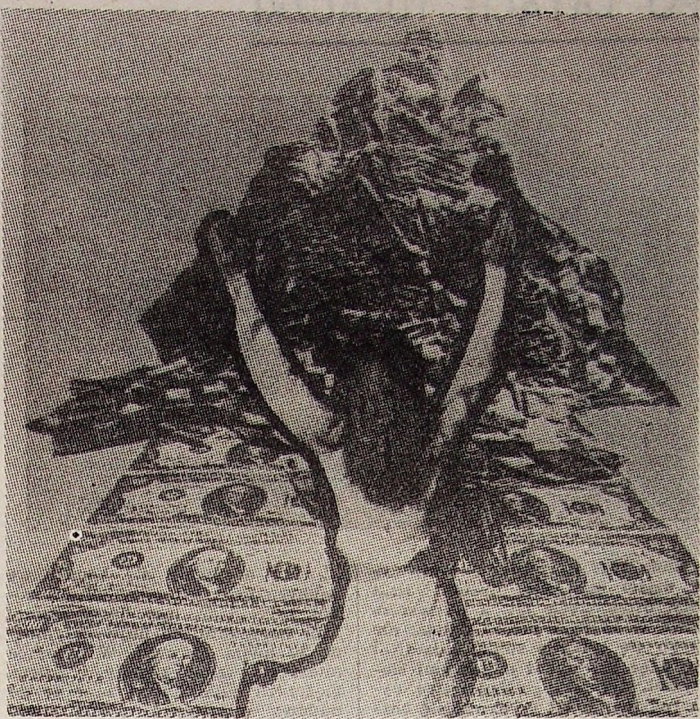
Kolejna wojna, wskutek stałej,
kilkuletniej deficytowości bilan-
sów handlowych państw Europy
zachodniej, przyczyniła się do dal-
szego wzmocnienia pozycji USA.
Dolar, który po zakończeniu II
wojny światowej, był jedyną wal-
utą wymienną na złoto, stał się
czołową walutą świata, wypie-
riając angielski funt szterling.

Ocenia się, że pod koniec 1949 r.
w posiadaniu USA znajdował się
zapas światowego złota wartości
około 25 miliardów dolarów. Wo-
bec takiego bogactwa i wobec fak-
tu gospodarczej klęski własnych
krajów, wyniszczonych wojną, w
Europie zach. dokonano masowej
dewaluacji walut przyznając się
do tzw. głodu dolarowego. Anglia
zdewałowala funta szterlinga o
30 procent, a w ślad za nią uczyni-
ło to 36 innych krajów, m.in.
Francja, Włochy, Belgia, Norwe-
gia, Cejlon, Nowa Zelandia, Hisz-
pania, Irlandia.

Powodzenie usypia czujność.
Przekonane o swej finansowej
potędze Stany przeprowadzały gi-
gantyczne operacje gospodarcze
poza granicami kraju, przeznaczają-
ły wielkie sumy na wydatki wojs-
kowe, poza granice USA przedo-
stało się w latach 1950—1957 około
10 miliardów dolarów, a w latach
1950—1967 dwukrotnie więcej.
„Głód dolarowy” przemienił się w
„dolarowy przeżytek” świat, który
nagromadził wydatkowane przez
Amerykanów dolary, zgłosił się do
amerykańskich banków z żądaniem
ich wymiany na złoto. Wymienio-
no na złoto około 12 miliardów
dolarów — zmniejszyły się rezer-
wy złota tego kraju i spadło za-
ufanie świata do wartości dolara.

Interesujące jest, gdzie Amery-
kanie przechowywali ten gigan-
tyczny skarb. Nie w skarbcu
Banku Rezerwy Federalnej, ale w
bazie wojskowej Fort Knox, po-
łożonej na jednym z odludnych
płaskowyżów Appalachów. Wybu-
dowano tam z betonu i stali o-
gromny skarbiec, otoczony druta-
mi pod wysokim napięciem i obla-
niony wodą. Skarbiec, nazywany
„złotym grobem”, strzeżony jest
przez gniazda karabinów maszy-
nowych i stacjonującą w pobliżu
dywizję wojska. Nic dziwnego —
do upilnowania pozostaje przecież
największy skarb świata. Jest on
wciąż największy, mimo iż rezer-
wy złota USA stale się zmniejsza-
ją. Ocenia się, że jeszcze w
1957 r. ich wartość wynosiła około
22,9 miliarda dolarów, by dziesięć
lat później spaść do kwoty 12 mi-
liardów dolarów. Przez wiele lat
Amerykanie walczyli o utrzymanie
międzynarodowej pozycji dolara,
świat informował o kolejnych pró-
bach reform walutowych, wpro-
wadzaniu nowych środków płatni-
czych w rozliczeniach międzynaro-
dowych, nazywanych umownie
„papierowym złotem”. Nie na wie-
le to się zdało — w 1968 r. Kong-
res USA zniósł obowiązek 25-pro-
centowego pokrycia wewnętrznego
obiegu dolara złotem i odstąpił od
utrzymywanej od 35 lat ceny 35
dolarów za uncję złota. Odąd oso-
by prywatne, banki i spółki
mogły nabywać na giełdzie złoto
po cenach wolnorynkowych. Cenę
35 dol. za uncję kruszcu utrzyma-
no jedynie w rozliczeniach mię-
dzy bankami, ale trzy lata później,
w 1971 r. prezydent Nixon podjął
decyzję, która zachwiała światową
finansjerą: USA wstrzymały wymie-
nialność dolara na złoto mię-
dzy bankami, doprowadzając do
ruiny wypracowany międzynarodowy
system funkcjonowania walut.

Jaka jest przyszłość złota? Czy
pieniądz papierowy wyparł cał-
kowicie ten kruszec z finansowych
obrachunków? Czyżby już na zaw-
sze decyzja o rozmiarach emisji



Papier zamiast złota²

pieniądza należała do władz po-
szczególnych krajów, które nie
czując krepujących więzów prze-
pisów, uzależniających masę pie-
niądza od zasobów złota, telefo-
niczną rozmową z zarządzającymi
mennicą ustalać będą ilość bank-
notów znajdujących się w obiegu?
Nie wiadomo. Wiadomo, że rola
złota, jako aktywa monetarnego,
została zredukowana. Ale jedno-
cześnie od połowy lat siedemdzie-
siatych obserwuje się wzmoczenie
popytu na złote monety. Jak po-
daje Henryk Cywiński w swojej
ciekawej książce „Z dziejów pie-
niądza na świecie” w latach 1976—
1977 w mennicach państwowych
zużyto po 180 ton złota rocznie
na bicie złotych monet. Stanowiło
to około 1/5 całej produkcji złota
w świecie kapitalistycznym. W la-
tach kolejnych produkcja ta
wzrastała. Zaobserwowano także,
że wraz ze wzrostem poziomu ży-
cia i stopnia zamożności społe-
czeństw w niektórych państwach
świata, nastąpił nawrót do zja-
wiska gromadzenia oszczędności
w złocie, co miało być jaskowy do-
wódzić sporej niewiary w stabil-
ność niektórych walut.

Nie sposób chyba obliczyć, ile
złota znajduje się w rękach pry-
watnych, zarówno w schowkach
ciulaczy, jak i spekulantów, ale
istnieją szacunkowe rachunki, z
których wynika, że w krajach ka-
pitalistycznych zgromadzono ok.
40 tysięcy ton złota. Szczególna a-
gencja F. Picka oceniała zasoby
prywatne Francuzów na około 4
tysiące ton złota w roku 1966, a
zasoby RFN na 7 tysięcy ton zło-
tego kruszcu, pozostającego w ręk-
kach prywatnych. Niestety, nie
ma odpowiednich danych informu-
jących, jak w tych „złotych” sta-
tystykach wypadają Polacy.

W naszym kraju, podobnie jak
we wszystkich państwach socjali-
stycznych, występuje obieg biletów
bankowych niewymienialnych na
złoto ani na żaden inny kruszec.
Podjęta w 1950 r. decyzja o zmia-

nie systemu pieniężnego ustaliła
cia złotówki parytet 0,222168 gra-
ma czystego złota. Był to tzw. zło-
ty dewizowy, czyli jedynie jed-
nostka obrachunkowa, nie stosowa-
wana w rozliczeniach bieżących.
W 1957 r. skomplikowano ten u-
kład wprowadzając obok kursów
parytetowych tzw. kursy specjalne
i kursy podstawowe, do których
stosowano dopłaty. System ten nie
gwarantował zachowania równo-
wagi siły nabywczej złotówki i jed-
nostek waluty obcej, a jednak obo-
wiązywał do 1982 r. Dopiero w
sierpniu tego roku zlikwidowano
kategorię złotego dewizowego i
przyjęto zasadę ustalania kursów
walut obcych w złotych. Nadal
jednak nie ma w obiegu złotych
monet, a banknoty nie są wymie-
nialne na złoto i nie są środkiem
płatniczym za granicą.

Pomimo iż w naszym kraju za-
gadnieniem proporcji obiegu pie-
niężnego zajmują się takie plany
finansowe szczebla centralnego,
jak plan kasowy, bilans pienię-
żnych przychodów i wydatków lud-
ności, plan kredytowy w sferze
obrotów z zagranicą oraz plan o-
brotów płatniczych z zagranicą,
nazywany także bilansem płatni-
czym, to niejednokrotnie naruszano
podstawowe proporcje obiegu pie-
niężnego.

O rozmiarach inflacji w Polsce
lat dwudziestych wiemy wiele, o
inflacji w Polsce lat powojennych
danych liczbowych trudno się do-
szukać. Wiadomo jednak, że in-
flacje z lat 1945—1948 i 1956—1958
były nieporównywalnie niższe od
tej, która zapoczątkowana została
w roku 1976 i po dzień dzisiejszy
dezorganizuje życie kraju.

opracowała

BOGUSŁAWA MACHOWSKA



Zimą 1940 r. rodzice już nie żyli, dzieci mieszkaly same. Brat miał osiemnaście lat, a na wsi to wiek, w którym już od dawna nie myśli się tylko o sobie, zajmował się więc jak umiał młodszymi siostrami. Był dom, gospodarstwo, była rodzina, świat wydawał się bezpieczny, a tocząca się wojna — sprawą bardzo odległą. Noc 10 lutego 1940 r. nie zakończyła się spokojnym snem, o drugiej załomotali w drzwi, obudzili krzykiem, dali pięć minut na zebranie najpotrzebniejszych rzeczy i kazali wychodzić z domu.

Dlaczego, dokąd, za co? — Takich pytań nikt nie stawiał całej wsi wywożonej w ten sam sposób, pewna, kołomyjska ziemia zaczęła oto trząść się pod nogami i już nie było pewne, zrozumiałe, bezpieczne. Do kuferków zabrali trochę ciuchów, złoto rodziców, jakąś żywność. Czy można przezorności wymagać od dzieci, którymi nikt nie mógł się zająć, bo każdy musiał myśleć o własnej skórce o własnej rodzinie, o własnej przyszłości.

Końmi Lipińskich odwieźli ich na dworzec, do Boździec, tam stał skład z wagonów towarowych, zabitych dokładnie deskami. Kiedy już stłoczono w wagonie kilkadziesiąt osób, drzwi zaryglowano, pociąg ruszył, konie uwiązane do pobliskich słupów zaczęły rżnąć przeraźliwie. To ich rżenie długo jeszcze powracało w snach, panią Janinę jeszcze dzisiaj wstrząsa dreszcz na wspomnienie tamtych chwil. Pociąg dotarł do Lwowa, stamtąd ruszył na wschód. Zatrzymywał się na większych stacjach, po trzy osoby z wagonu wychodziły pod strażą po przydział żywności na dalszą drogę. Z wodą było różnie, początkowo chłopcy odbili górną deskę w wagonie, oblamywali sople lodu — zima czterdziestego roku to była straszliwa, mroźna zima — te sople topiło się na płycie wagonowego piecyka, takiej „kozy” i wrzątkiem poilo dzieci. Później można było nabierać wodę podczas postoju, ale ile jej nabierzesz? Do garnka, garnuszka, butelki?

Po miesiącu pociąg dojechał do Tumienia. Tam dopiero zobaczyli, jak wygląda syberyjska zima. Czterdziestostopniowy mróz, śniegu dwa metry i wciąż jeszcze padało. Rozdzielono transport na kilka grup, które miały ruszyć w dalszą drogę. Kilka dni czekali, aż w końcu oczyszcza drogę tak, żeby samochody mogły przejechać do Tobolska. Wreszcie wyruszyli, tydzień trwała ta podróż ciężarówkami, wśród mrozu, straszliwego zimna. Najmłodsze dzieci kobiety obwiązywały pierzynami, poduszkami. Nie pomogło, dzieci zamrzły, a krzyk i lament przerażonych matek nie topił zmarzliny. Z Tobolska, gdzie zatrzymały się auta, saniami dowieziono ich do Obusz-

ki, tak nazywały się baraki we wnętrzu tajgi. Niczego innego wokoło, tylko lasy, lasy, lasy. Żadnej linii horyzontu, co najwyżej można w niebo spojrzeć. W Obusze mieszkaly same kobiety i dzieci, mężczyzn oddzielono i zabrano do budowy miasteczka, które miało nazywać się Pinią. Komendant obozu powtarzał często, że budują swoją stolicę. — Tu wasza Warszawa, a ja — wasz bóg. — Marzenia o powrocie do innego świata próbował rozpedzić tym krótkim zdaniem, często powtarzanym.

Wiosną zdecydowano, że wszyscy z Obuszki mają przejść do Nowodorożnej, dużej wsi, gdzie był tartak, praca, obowiązki. Rano wyruszył pochód kobiet, młodszych i większych dzieci, do przejścia było ponad 35 kilometrów nie drogą, która nie istniała, ale lasem. Straszliwa podróż. Kiedy dowlekli się nad Irtyś, nawet straż-

Nad Irtyszem...

obozowe nie odważyły się od razu skierować ich do pracy, dostali wszyscy dzień wolnego.

— Musiałam pracować, miałam jedenaście lat, to wystarczająco dużo, żeby pilnować drzewo. Nowodorożna leżała nad samym Irtyszem, we wsi był tartak, przerabiał drzewo, które spławiano rzeką. Potem, też rzeką, płynęły transporty metrowych kawałków drewna, już obrobionych, które w fabrykach broni przerabiano na kolby do karabinów. To był mój udział w wojnie. Mężczyźni w lesie ścinał drzewa, a kobiety i dzieci pilnowały. Nikt nie wyrabiał normy, a norma to był przydział chleba. Ile wyrobisz, tyle dostałeś deko. Ja wyrabiałam siedem do dziesięciu deko chleba dziennie. Za pracę placili, żeby można było zapłacić za jedzenie w stołówce, ale ponieważ pracowaliśmy słabo, to nikt nigdy całej pensji nie widział, tylko zaliczki na jej konto. Zaliczkę zostawiali się w stołówce i ciągle powtarzali, ile jeszcze jest się winnym. Ciągłe człowiek był winien.

Wszystkie dzieci objęto obowiązkiem nauki. Początkowo była to szkoła z nauczycielami mówiącymi tylko po rosyjsku. Rano dzieci szły do pracy, potem — do szkoły. Kto nie zgłosił się na lekcje, w stołówce, w czasie późnego obiadu, nie dostawał drugiego dania. Skuteczna kara, lekcje opuszczano rzadko.

Życie obozowe toczyło się w drewnianych barakach w których ulokowano na piętrowych łóżkach po około sto rodzin. Po kilkunastu dniach takiego wspólnego kocowania wszystkich oblażył wszy, później zaczęły się panoszyć pchły, a zaraz potem — ołuszkwy. Spadały z sufitu niezły deszcz, kaszły boleśnie, a walka z nimi była beznadziejna. Każdego wieczora ko-

mendant sprawdzał dokładnie listę mieszkańców, składał ją później zadowolony, że nikt nie uciekł. Dokąd można uciec w tajdze, do następnego obozu jedynie. Albo do tatarskiej wioski, gdzie, wszyscy wszystkich znają, jak w każdej wsi na całym świecie. Tam nie szukano schronienia, co najwyżej żywności. Nocą wykradano się z obozu, przemysłano do tych wsi i wymieniano, co kto miał, jakiś łach, złoty pierścionek, narzędzia, na ziarno, kartofle, mleko.

Od kiedy Polacy zamieszkali w wybudowanej przez siebie Pini, maleńskim miasteczku z niewielkim centrum, tej wykpionej syberyjskiej Warszawie, warunki życia polepszyły się trochę. W maleńkich drewnianych domkach, podzielonych na czworo, mieszkaly po cztery rodziny. Było czysto, przytulnie, ciepło, był dom.

— Ale przyszła wiosna, Irtyś rozlał się, nie pomógł łodołamacz. Rzeka wylała szeroko, zalała Pinię. Woda zabrała nędzne resztki, które jeszcze udało się zachować. Z dachu domu zdjęli mnie do łodzi, tak jak całą wieś, wywieźli wszystkich na brzeg rozlewiska. Stamtąd ruszyliśmy w las, potem na zbocze góry, gdzie bezpiecznie. Ludzie zabrali się do budowy szałasów, ziemianek. Obrywali korę z grubych pni brzoź, płatanami okrywali te budy. Każdy radził sobie, jak umiał, czekaliśmy, aż woda opadnie, aż będziemy mogli wrócić do naszych domów w Pini.

Jednak woda długo nie ustępowała; a w szałasie i ziemiance żyć trudno. Chmury moszki i komarów wędrowały znad mokradel ku obozowisku, przenosiły chorobę, zaczęła się epidemia malarii. A w szałasach — żadnego ratunku, żadnych lekarstw, żadnej pomocy. Ogniska paliły się dzień i noc. Trudno odpędzało to owady, ale głodu nie odpędziło. Tam, w lesie, poznali co to prawdziwy głód. Uciec nie było dokąd, z jednej strony

las nieprzebyty, z drugiej — rozlana rzeka. W promieniu kilku kilometrów zniknęła trawa, kora z drzew. Uschłe drzewa wyszukiwano z nadzieją, że pod korą są jakieś larwy, które można ugotować.

— Dzisiaj nie mogę sobie wyobrazić, jak wtedy mogłam to przelknąć, ale głód to straszne uczucie, kto go doświadczył, to rozumie. W końcu zaczęło brakować i tego pożywienia, więc matki w rozpacz przed śmiercią głodową przywiązywały do siebie dzieci, żeby mieć pewność, że nie będą ginąć z głodu same, i skakały do Irtysza. Ja też zachorowałam, dostałam skorbutu, potem malarii, może zresztą było na odwrót, już nie pamiętam. Byłabym zginęła marnie, gdyby nie podstęp. Brat mój został w Nowodorożnej, pracował przy wyrębie lasu, spośród naszych obozowiczów wybierali jeszcze najsłabszych do tej pracy. Koledzy brata postanowili mnie wykraść, nocą przenieśli do łodzi. Wybrańcy odpływali świtem, żeby uniknąć walki z pozostałymi, walili o miejsce w łódce. Kiedy się rozwidniło, zastępca komendanta spostrzegł mnie, rozsierdził, ale było już za późno na powrót. I tak uratowano mi życie. Nie ma już tych chłopaków, poszli później na front, zostali pod Lenino.

Brat nie poznał wynędzniałej siostry. Niósł ten skielecik na rękach do baraku i płakał. Nie wierzył już chyba, że Janka jeszcze kiedyś stanie o własnych siłach na nogach. Ona sama też nie wierzyła. Chciała tylko jednego — jeszcze raz najęść się chleba do syta. Kusila Sarę, kierowniczkę stołówki, żeby za ocalały pierścionek mamy dała bochenek. — Ni-na, nie dam, bo tym bym cię zabiła — rozbiłała się Sara. — Tego nie zrobię. Ale ty musisz

chodzić, będziesz chodzić. Pocięp jeszcze trochę.

Przyniosła kompotu z żurawin, później odrobinę jaglanej kaszy, jeszcze później — chleba. Janka przeżyła, pierścionek, którego nie wzięła Sara, wymieniła u Tatarów na pół wiadra ziemniaków, najedli się razem z bratem i siostrą do woli. Już było lato, już życie nabierało innych kolorów, już zapominało się o wiosennej tragedii. Wiadomość o wojnie ZSRR z Niemcami przywiozła jakaś Polka, która wysiadła na chwilę ze statku płynącego Irtyszem. — Szykujcie się na wolność — powiedziała. — To już niedługo. W sierpniu komendant zwołał wszystkich Polaków do Pini, powyłazili z lasów, z ostępów, zlekli się z obozowisk. Zaczęła się długa i kwiecista rozmowa o tym, że teraz walcząc trzeba będzie przeciw wspólnemu wrogowi, że są wolni. Przemowa skończyła się gwałtownie, mężczyźni nie chcieli słuchać tej gadaniny, najwyraźniej przed walką z Niemcem chcieli obić gębę komendantowi, umknął więc szybko za drzwi biura.

Dostali paszporty, które uprawniały do poruszania się po terenie województwa, ale mało kto myślał o wyjeździe. Zgodzili się pracować w pobliskim kolchozie, mieli tam dostawać pensję, przydział żywności. Wyprowadzili się z obozowych baraków, na ich miejsce dowieźli Niemców z nadwołżańskich kolonii i pierwszych niemieckich jeńców.

W kolchozie Janka pracowała z siostrą do 1944 r. Brat od dwóch lat był już, tak jak i inni Polacy, na froncie, wcielony do radzieckiego wojska. Kiedy front przesunął się na zachód, Ukraina była wolna, ziemia czekała na gospodarzy, a tych brakowało, do armii powoływano przecież coraz starszych i coraz młodszych, rozpoczęto przesiedlanie Polaków z Syberii. Najpierw statek dziesięć dni płynął z Tobolska do Omska. — Kiedy odbił od brzegu, ludzie plakali głośno. Z radości, że przeżyli. Z żalu, że na tym brzegu pozostawili tylu najbliższych, tyle własnej krwi i potu. Potem pociąg wioził ich długo, zatrzymał się pod Kirowogrodem. Dwa lata pracowała w sowchozie, na rozległych polach kukurydzy, ziemniaków. Pamięta ten straszliwy widok pól, usianych ciałami zabitych żołnierzy, których nikt nie grzebał. I stada unoszących się nad trupami kruków i wron. Dopiero kiedy z pobojowiska do ludzkich siedzib przeniosła się zaraza, kiedy tyfus zaczął dziesiątkować i Polaków, i Rosjan, ruszyły bataliony grabarzy. Janka, oprócz tyfusu, „zaliczyła” jeszcze zapalenie płuc. Razem z siostrą wiosną 1946 r. wróciła do Polski, transport zatrzymał się w Ścinawie, skąd trafiało do Naroczyc, do dokładnie wyszabrowanego z gospodarskich sprzętów domu. Kilka miesięcy później odnalazła się cała rodzina — i bliższa, i dalsza. Można było zacząć normalne życie. Od zera, na własny rachunek.

— Wróciliśmy bez niczego, starsi o sześć lat. Miałam na sobie jakąś bluzkę i spódnice z ukradzionych w sowchozie poniemieckich worków, które farbowało się i szło z nich odzież. Tu, w Naroczycach, przypomniałam sobie, że jestem kobietą. Marzyła mi się czarna sukienka. I uszyłam ją sobie, z hitlerowskich krawatów, których setki znaleźliśmy w naroczyckim pałacu. Wszystkie dziewczyny coś sobie z tych krawatów uszyły, prule je, prasowały, szły w piękne spódnice i sukienki, tak ślicznie falowały...

Wspomnienia
JANINY WIŚNIEWSKIEJ

spisala
BOGUSŁAWA MACHOWSKA

Wystająca ponad Złotoryję skała (373 m n.p.m.) porośnięta drzewami, która fascynuje wjeżdżających do miasta, to fragment powulkanicznego stożka zwanego Wilczą Górą. Wzgórze (w średniowieczu prawdopodobnie miejsce praktyk religijnych) przetrwało w zapisach kronikarzy jako pole bitwy wojsk Napoleona i Aleksandra w 1813 roku. Góra i miasto kilkakrotnie przechodziły z rąk do rąk, a na pamiątkę potyczek stawiano tu aż trzy pomniki (ostatni w 1913 roku). Na jednym z nich wyrzyto najważniejsze w dziejach miasta wydarzenia i nazwiska znaczących mieszkańców.

Przez lata cała Wilcza Góra była miejscem wycieczek i spacerów, urządzano i co jakiś czas żwirowano alejki, stawiano ławeczki, wymieniano drzewostan, zimą złotoryjanie chętnie korzystali z toru saneczkowego na jednym ze zboczy. W 1844 roku stanął tu pierwszy zajazd, nazwany od imienia oberżysty, schroniskiem Wilhelma. Kiedy w 1870 roku budynek spłonął, odbudowano go, a potem powiększono. Drugie schronisko zwane Wilczym wybudowała w latach 80. ubiegłego wieku złotoryjska sekcja organizacji turystycznej — Związku Karkonoskiego. Z obszernej, oszklonej werandy podziwiać można było Pogórze Kaczawskie i rozpoznawać szczyty Karkonoszy. Sielanka skończyła się, kiedy stwierdzono, że bazaltowe wzgórze może w jeszcze inny sposób służyć miastu. W pierwszych latach XX wieku na południowo-zachodnim stoku Wilczej Góry rozpoczęto eksploatację bazaltu. Wypełnione kamieniami wagoniki zjeżdżały z 666-metrową kolejką do uroczą dolinę potoku, zwanego dziś Drażnicą, gdyż tam wybudowano zakład kruszenia bazaltu. Z fabryki transportowano go samochodami na stację kolejową do Złotoryi, a później specjalną kolejką do bliższej stacji w Jerzmanicach Zdroju. Bazalt służył do budowy okolicznych dróg, z czasem kupowany był na całym Dolnym Śląsku. Złotoryjanie od początku niechętni byli kamieniołomom, twierdzili, że zakład krusze-

nia szpeci okolice, że wzniesienie powinno zostać nieistniejące, probowali uratować co się da, przebudowywali ścieżki i alejki, pielęgnowali roślinność. Od właściciela góry zyskali jedynie zapewnienie, że część Wilczej pozostanie punktem widokowym na Karkonosze. W 1925 roku kamieniołomy uśredniono, a miasto kupiło wzgórze, aby zachować je jako zabytek przyrody. Wtedy funkcjonowało jeszcze schronisko Wilcze (to pierwsze — Wilhelma już przed I wojną światową zamknięto i przeznaczono na posterunek mistrza strzelców), pozostały alejki i ławeczki, a góra nie była jeszcze strzępem skały. Na początku lat 30. urządzono tam lotnisko dla szybowców.

O bazalcie przypominano sobie zaraz po wojnie, potrzebny był budynek na trasie W-Z, Pałac Kultury i Nauki. W 1951 roku pojawiła się koncepcja wysadzenia wzgórza za pomocą 60 ton materiału wybuchowego — szybko i dokładnie. Naukowcom zawiądzają mieszkańcy miasta, że do nadzwyczajnych efektów pirotechnicznych nie doszło, i że zapadła decyzja o stopniowym niwelowaniu Wilczej Góry. Do 1956 roku wydobywano 30—40 tysięcy ton bazaltu. Potem kamieniołomy zmodyfikowano i produkcja wzrosła, większe też były potrzeby Budowano właśnie Port Północny, Trasę Łazienkowską, Hutę Katowice i tamę na Solinie. Zwolennicy zachowania Wilczej Góry i jej naturalnych walorów w 1959 roku zdołali uchronić jedynie niecałe dwa hektary wzniesienia. To jest rezerwat!

Górująca nad miastem pozostałość wzgórza (z daleka okazała, z bliska jakże żalonna) przypomina niektóre owiane dymem i przemysłowymi pyłami polskie uzdrowiska. Aż dziwne, że ta skarpa jeszcze stoi! Nad eksploatowanymi pokładami (trwa wydobywanie trzeciego, planowane jest uruchomienie czwartego poziomu) coraz bardziej karłowate drzewa są kolejnym symbolem walki człowieka z przyrodą, a więc z sobą i przeciwko sobie.

Rezerwat od dawna (nieczynny jest dla zwiedzających) bazaltową różą (układ naturalnych pięknie na skałę osłgać można tylko wówczas, kiedy nie ma strzelania i z pewnej odległości (zielony szlak prowadzący od Kruczych Skat nad stacją PKP w Jerzmanicach poprzez pieczary Wilczą i Niedźwiedzią). Robotnicy z kopalni bazaltu na pytanie o rezerwat i różę odpowiadają zazwyczaj, że jeszcze kilka strzelań i śladu po nich nie będzie, bo zawsze parę drobnych kamyczków się obsunie, wystarczy zresztą deszcz czy silniejszy wiatr i słychać jak leci. Tak naprawdę to bazaltowa róża owa, drobniaczka zakrywa niemal całkowicie. Robotnikom nie przeszkadza to wszakże w snuciu opowieści o ukrytych na Wilczej Górze skarbach. Podobno wojska napoleońskie, a może wycofujący się Niemcy zostawili je gdzieś w pośpiechu i być może kiedyś taśmociąg zabrzeczy inaczej. Z przekąsem mówią o pomnikach i schroniskach, które były — czy to możliwe? Teraz nie mają nawet toalety, bo ta w budynku dyrekcji praktycznie się nie liczy teren kamieniołomu jest zbyt rozległy...

Przed stu laty planowano z turystyki uczynić atut, szansę rozwoju miasta i regionu, czyniono też wszystko, aby tak się stało. A teraz również mówi się, że Złotoryja ze swymi malowniczymi krajobrazami powinna żyć z turystów, ale obok zabytkowych obiektów, klimatu, pieczar, wąwozów i wzgórz, o które nie bardzo się dba, potrzebne są jeszcze schroniska, hotele, czyste sanitarium, woda w kranach i telefony. Czy pozostałość Wilczej Góry doczekają lepszych czasów? A może lepiej, by kamieniołom zawładnął rezerwatem? Samotna, ociosana skała nie drażniłaby, nie przypominała jak było kiedyś?

(hal)

PS. Odtworzenie dziejów Wilczej Góry jest możliwe dzięki materiałom, jakie zgromadził historyk i kronikarz Złotoryi Roman Gorzkowski.

NIE MA WALKI O LUDZI

W Zakładzie Urzędów Górniczych „Lena” w Wilkowie NSZZ Górników skupia ponad 400 pracowników, NSZZ „Solidarność” ponad 400. Stefan Kluska i Edward Kozdraś, szefowie organizacji nie rywalizują ze sobą dla powiększenia stanu liczebnego, a trzynajmniej nie czynią wokół tego propagandowego szumu. Wprawdzie kilkanaście osób odeszło ostatnio z NSZZ Górników, ale i „Solidarność” nie notuje masowego napływu członków. Ludzie przyjmują postawę wyczekującą, jedna trzecia załogi nie opowiedziała się za żadnym ze związków. Przewodniczący podkreślają, że działania obu zarządów mają na celu ochronę interesów tej samej załogi.

Dowodzą tego zmiany w wysokości zasiłków statutowych. Związkowcy z federacji podnieśli świadczenia w tym samym na zebraniu delegatów. „Solidarność” natomiast ustaliła stawki niedawno, sumy są wciąż wyższe. I tak z tytułu urodzenia dziecka członkowie NSZZ Górników otrzymują 10 tys. zł, członkowie drugiego związku 25 tys. zł. W innym przypadku — zgonu członka związku jest to odpowiednio — 10 i 30 tys. zł, natomiast z tytułu zgonu członka rodziny — 7 i 15 tys. zł. Pewne jest, że zasiłki NSZZ Górników wzrosną, trzeba tylko poczekać do lutego. Młodszy stażem NSZZ „Solidarność” czynił będzie starania o możliwość refundacji wycofanych swoich członków, przede wszystkim dzieci, ale na razie nie ma jeszcze takich możliwości finansowych, mnożono jest też spraw organizacyjnych.

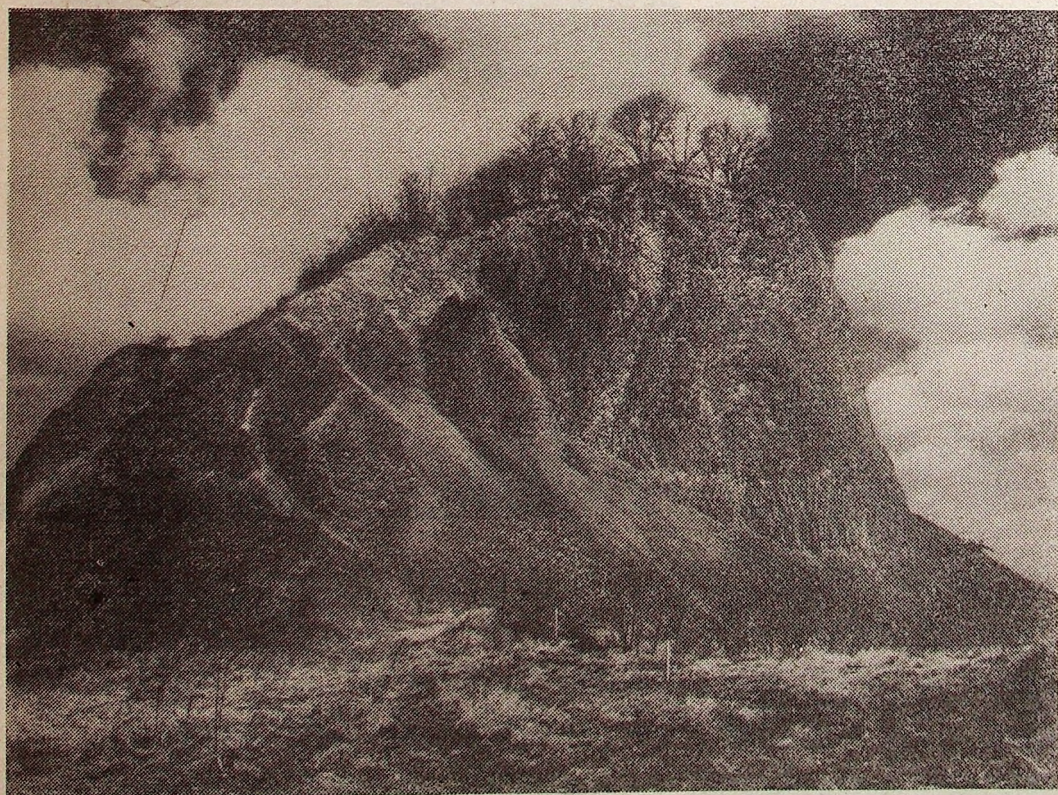
Różnice są i będą, ale nie powinna na tym ucierpieć załoga, w końcu wiele związkowych inicjatyw dotyczy nie tylko zrzeszonych. Szefowie organizacji uzgodnili to wcześniej i dziwią się nieco, że tu na dole, jest to zrozumiałe, a góra dogadać się nie może, a przynajmniej takie sprawia wrażenie. Obaj też wyrażają niepokój o dalsze losy zakładu i załogi, bo średnia płaca 80 tys. zł na miesiąc nie może nikogo zadowolić, a dowodem jest odchodzenie ludzi z firmy. Tylko w tym roku zrezygnowało z pracy w „Lenie” 80 osób, sześć następnych podań wpłynęło w ostatnich dniach. Przychochą wprawdzie nowi pracownicy, ludzie młodzi, ale jak długo wytrwają? Porównują przeciętne swoje zarobki z wypłatami w złotoryjskich spółdzielniach, Zakładach Obuwia i prywatnych firmach. Inna rzecz jest propozycja dyrekcji, aby pewne prace na rzecz zakładu wykonywać w formie spółki, spotkała się z entuzjazmem. Być może, żal dodatków i ekwiwalentów połączonych z zasadniczymi poborami, być może jest to oczekiwanie na jeszcze większe profity. Faktem jest, że łatwo nie żyje się ani tym z produkcji, ani kadry inżynierskiej. Stosunkowo lepiej wiedzie się tylko pracownikom wydziału wozów górniczych i załozie zakładu w Nowym Kościele. Cała nadzieja w nowych propozycjach ekonomiczno-finansowych kombinatu, ale czy to wystarczy? Domowe budżety pracowników „Lena” powinna niedługo zasilić też wypłata z zysku na drugi kwartał.

Zdecydowanie lepiej niż finansowe kształtują się kwestie warunków pracy. Odnowiono w ostatnim czasie łaźnię, szatnię i stołówkę, wyciszono wiele wymagających tego pomieszczeń, usprawniono wentylację. Właśnie dobiega końca remont ubikacji w jednym z wydziałów.

Jak widać z tej skróconej — z konieczności — wycieczki, po wakacjach oba związki czeka jeszcze wiele pracy.

(hal)

WILCZA GÓRA



Fot. J. Wójcik



Tekst - BOŻENA KOŃCZAL

Zdjęcia STANISŁAW KAŁUŻNY

(Dokonanie ze str. 1)

...dwa kilometry, sanitariaty
bardzo prymitywne. Ale po-
rodzinnego biwakowania
mamiotami spodobał się wszy-
m uczestnikom. W Olejnicy
po sześć takich obozów.
Wsielenia miejsca wy-
roku do Pszczewa zrodził się
czterema laty. Dzieci z o-
sportowego ze szkoły pod-
owej numer 10 w Głogowie,
barwnie opowiadały o uro-
Pszczewa i okolic, że aż
dotarły do organizacji
rzeżowej. Młodzi hutnicy po-
wili sprawdzić jak właści-
jest z tym Pszczewem. O-
ści pokrywały się z praw-
nierownictwo ośrodka zgodzi-
na przyjazd grupy i tak
pojechała historia pszczew-
obozów.

TYLKO ŁOŃCA BRAK

...w obozowisku zaczyna
7.30. Wielki szaman — kao-
Tadeusz Perczyński zapra-
chętnych na bieg po zdrowie.
a leży trzy kilometry, od
ny ośrodka aż do przejazdu
owego tuż przed samą miej-
nością Pszczew. Chętnych do
ania jest jednak niewiele.
na grupa woli biegać po le-
niż po asfalcie, reszta wy-
dając z założenia, że urlop jest
to, aby poleniuchować, wylegu-
się do śniadania. Po posiłku
cia dla dzieci: gry i zabawy
erzenie, wycieczki do lasu i na
te ostatnią przekładano
ry razy, bo ciągle było za
no na konsumpcję mrożonych
kolejków, a gdy aura nie do-
sa zająca świetlicowe.
odzie mają wreszcie czas na
anie się do długo odkładanej
atury, pogadanie ze znajomymi,
pierką, a kto lubi i potrafi
na dzierganie na drutach czy
zywanie. Gdy nie pada i
peratura względna, wszystkich
nie nad jezioro. Obozowicze
ją do swojej dyspozycji kajak
ower wodny. Kto nie chce cze-
w kolejkę, może za symbo-
ną opłatą wypożyczyć sprzęt
ny. Pod okiem ratownika
zna też uczyć się pływania.
największą atrakcją, szczegól-
dla licznej gromady dzieci, są
ie. Można je nie tylko podzi-
ć ale również wykupić lekcje
y. Ceny przystępne — pół go-
ny kosztuje 500 zł. Zaintere-
anie jest tak ogromne, że
ciaki, nawet te, których w ro-
żkolnym nie można rano do-
zić, zrywają się o siódmę,
zdążyć wykupić jazdę. Na
nie ośrodka są również korty
osowe a więc każdy znajdzie
coś dla siebie.
dnia, w którym odwiedzi-
uczestników obozu, pogoda
na zmienna. Część osób wypo-
wała na leżakach po wyści-
h na rowerach wodnych, spo-
bając raz po raz, co z tym
teczkiem obiecany przez sza-
na. Ci, którzy uznali, że na
try wodne za chłodno, wybra-
się na zakupy do pobliskich
skich miast: Międzyrzecz i
dziedochu. Sam Pszczew jest
y i źle zaopatrzony. Jak się
nie okazało, zakupy były u-
i wszyscy obozowicze mo-

gli podziwiać nowe koszulki ba-
welniane i kurtkę męską na
błyskawicznym pokazie mody.
Dzieciaki, które nie pojechały z
rodzicami na zakupy, albo bawi-
ły się w obozie, albo czekały na
swoją kolejną jazdę konnej. Za-
obserwowaliśmy, że nauka daje
wyniki. Ewa Figiel już po piątej
lekcji przypominała prawdziwą a-
mazonkę.
W przedobiednim rozleniwieniu
był czas na rozmowy z uczestni-
kami obozu. Życie toczyło się tu
powoli, a wszystko i wszystkich
miało na oku — jak na szeryfa
przystало — komendant obozu
Józef Zawadzki.
Przed jednym z namiotów za-
staliśmy rodzinę Lepioszków. Po-
wiedzieli nam, że w Pszczewie są
już po raz trzeci i zawsze jest
wspaniałe. Teren jest przepiękny
— lasy, jezioro, możliwość upra-
wiania różnych sportów, a do te-
go dobre jedzenie, żadnych stre-
sów, pełny luz i wypoczynek i aż
żał, że to tylko przez dwa tygod-
nie.
Maria Ptak — mieszkanka na-
miontu sygnalizacyjnego „Długie Pió-

ro” jest na takim obozie już po
raz piąty. Przyjechała tu z całą
rodziną, ale syn po tygodniu wy-
jechał na kolonie. Warunki są
wspaniałe. Wszędzie czysto, schlud-
nie, jest nawet ciepła woda. Jed-
zenia, jest pod dostatkiem i to
nie byle jakiego — same smacz-
ne kaski, bo w ośrodku prowadzi
się swoją hodowlę. Atrakcji nie
brakuje, nikt nie ma prawa się
nudzić, a dzieciaki zupełnie posza-
lały na punkcie koni.
Namiot opatrzone napisem „Zie-
lony Jeleń” zamieszkują Elżbieta
i Jerzy Kaczorkowie, wraz z dwój-
ką synów-bliźniaków. Narzekać
można jedynie na pogodę —
stwierdzają — ale nawet bardzo
chłodne noce nie wypędziły niko-
go z obozowiska. Atmosfera jest
wspaniała. Robimy częste wy-
cieczki do okolicznych miejsc-
owości, aby je poglądać, coś ku-
pić. Zaopatrzenie jest jednak dość
kiepskie. Brakuje nawet owoców,
a ceny...
Sprawdziwszy, że woda w je-
zorze jest tak czysta, że widać
dno, postanowiliśmy zapytać wę-
dkarzy czy w tym akwenie są ry-
by. Trójka wędkarzy co to i
świętek i piątek, nie dosięga a już
idą moczyć kije — przyznała, że
ryby są, ale z połowem na razie
nieszczęśliwie. Nie znają jeszcze
tego jeziora, pogoda się zmienia,
a poza tym nie mają dobrej za-
nęty. Największym osiągnięciem
tego turnusu było złowienie kilo-
gramowego lina przez Kazimierza
Marca. Normalnie kończy się je-
dnak na kilku płotkach i oko-
niach.
Aura nie dopisuje, ale humory
tak. Najlepszym tego przykładem
są Danuta i Janusz Wójtowiczo-
wie, gdy znowu zaczyna padać,
spokojnie zbierają suszące się
ręczniki, stwierdzając, że stoickim
spokojem, że widać tak musi
być. Oczywiście, nie wszyscy pod-
chodzą do deszczu tak spokojnie,
na część złym okiem spogląda na
szamana, który właśnie wyłonił
się z namiotu z wizytówką „By-
stry Łoś”. Szaman zanosí swoje
modły w rześkim deszczu na
środku placu i... pomaga! Ulewa
przechodzi i znowu wygląda słoń-
ko. — Aby tak było już do koń-
ca obozu — wzdycha ktoś ciężko.

NOWOŚCI Z „ZAKMATU”



Fot. J. Kosiński

Odwdziędził się niedawno dział przygotowania produkcji na wydziale
odzieżowym w Zakładzie Handlowo-Produkcyjnym „Zakmat” w Polko-
wicach, gdzie mieliśmy okazję zapoznać się z nowymi wzorami wyro-
bów konfekcyjnych, z którymi polkowicki producent w najbliższym
i trochę późniejszym czasie chce wyjść na rynek. Od razu trzeba
przypomnieć, że wiele z przygotowanych modeli może się naprawdę po-
dobać.
Jesteśmy przekonani, że panom trafią do gustu ciekawie zaprojek-
towane cieleniowe kurtki jesienno-zimowe na podpince (pianka
plus podszywka) w zestawach trzech różnych kolorów (zasadniczy i 2
kontrasty). Ukazą się one w sklepach zagłębia miedziowego już we
wrześniu br.
Do wiosny przyszłego roku trzeba będzie natomiast poczekać na
bajecznie kolorowe dresy (ubrania treningowe) uszyte z materiału ba-
welnianego. Będą szyte dla panów, pań i dzieci.
Radzimy więc do tego czasu wstrzymać się z zakupami tych wyro-
bów, bo dresy ze znakiem „Zakmatu” są piękne i mają być stosunko-
wo tanie.

(Kef)

Gruchnęła pełna ekscytacji i zelektryzowała opinię publiczną o-kolicznych wiosek wieść gminna, że nadchodzi Epoka Przełomu. Epoka Przełomu?! — szeptało po kątach. A coż to za Epoka?! — trwożliwie dopytywano. Cóż ona, Epoka ta, przelamać może?! Trwoga, niepewność, zaciekawienie w takim samym stopniu budziły nadzieję, co i napelniały niepokojem ludzkie serca. Nikt dokładnie nie wiedział, co te słowa znaczą, ale coraz więcej obywateli powtarzało je z coraz bardziej rozwartymi oczami. Epoka Przełomu! szły słuchy od domu do domu. Przełom Epoki! zmodernizowana wersja także przebiegała się przez zagrody i oplotki. Nastaje Nowy Czas! Era Odnowy — ktoś usłyszał i natychmiast podał to dalej. I już obok Epoki Przełomu i Przełomu Epoki, a także Nowego Czasu, coraz częściej słyszano się Era Odnowy, ale jakby i to nie wystarczało, jakieś zagadkowe usta szepotały: Odwilż, Odrodzenie i nawet Era Prawdy, Prawdopodobności i Jawności Życia Publicznego nadchodzi. I im więcej było tych słów, tym większa powstawała dezorientacja, tym bardziej, że nikt nie potrafił dokładnie wskazać źródeł tych słów. Jakież wiatry wiały, ale nie wiadomo skąd. Na pytanie, gdzie obywatel to słyszał, obywatel miał czapkę w rękę i wskazywał na Wschód, co natychmiast chłodziło klimat uczuciowy wiejskiej zbiorowości, albo na Zachód, co wywoływało reakcje niepewności, albo na Południe, co powodowało wzruszenie -amion, albo na Północ, co likwidowało wszelkie zaciekawienie. Północ?! miał się wyrazić jakiś światły obywatel klasy chłopskiej. A coż nam Północ kiedy dała? I tak postawione pytanie rozstrzygło wszelkie problemy. Bo rzeczywiście, coż nam Północ kiedy dała?! Machano w końcu rękami i dawano sobie spokój z Północą. O! Co innego Wschód, albo Zachód. Tutaj już było o czym mówić. I pewnie by obywatele wiele mówili o Wschodzie i o Zachodzie, bo było rzeczywiście o czym mówić, ale obywatele wpadali w kompletną dezorientację, gdy okazywało się przy bliższych badaniach, że kierunki te, Wschód czy Zachód, miały wskazywać źródła stosunkowo mało wiarygodne, bowiem doszło do tego, po wnikliwej analizie sytuacji, że rozpowszechnianiem tajemnej wiedzy o Epoce Przełomu czy Przełomie Epoki, a także o Erze Prawdy, Prawdopodobności i Jawności Życia Publicznego zajmowały się w okolicach Pałacu i domków kolonistów Czarny Kocur i Biały (a może też Czarny, a może też Czerwony) Kogut. Jak sami rozumiecie, źródła te były niepełne i mało przekonujące. Niestety, innych źródeł nie udało się jeszcze wtedy ustalić. Ale mniejsza o źródła, bo jak się okazuje, nie same źródła są ważne, ale cała aura jaka towarzyszy tym źródłom. I oto znowu spotykamy się z naszymi bohaterami, czyli Czarnym Kocurem i Białym Kogutem, a także, tu i ówdzie, ze zwierzętami Kogutokotem. Chcemy tego, czy nie chcemy, musimy się oprzeć na przekazie ludowym, jako, że on najbardziej podniecał okoliczną wyobraźnię ludu.

Węc wszystko się zaczęło gdzieś tak po żniwach, 1956 roku. O roku ów! Modlitewnie, niemal z jakimś uwielbieniem, miał powiedzieć Biały Kogut, wznosząc oczy ku niebu i składając komus nieznanym wyrazy wdzięczności i podziękowania. Ale my temu nie wierzymy, bowiem wygląda to wszystko zbyt aluzyjnie i nic innego nie przywodzi na myśl, jak tylko wiadome tendencje obcego chowu, zwane metafizyka, czy nawet, o zgrozo! mistyka. A prze-

Od redakcji: Swego czasu prezentowaliśmy głośną już powieść STANISŁAWA SROKOWSKIEGO — „Repatrianci”. Książka, jak wiadomo, zdobyła laur powieści roku. Autor przyznał się do kontynuacji prac nad następnym tomem. I oto otrzymaliśmy kilka fragmentów trzeciego ognia tej kresowej epopei i prezentujemy wybrane fragmenty na naszych łamach. Pragniemy, żeby czytelnicy „Polskiej Miedzi” byli pierwszymi czytelnikami książki, która na dniach ukaze się w księgarniach. Być może, że wielu zwolenników prozy Srokowskiego nie znajdzie „Płonącego motyla”, bo taką będzie nosiła nazwę trzecia część trylogii, jest więc okazją, żeby zapoznać się choćby z fragmentami. Tytuł odcinków drukowanych w naszym tygodniku pochodzi od redakcji i wskazuje na pewien charakterystyczny rys tej prozy.

Być może niektórzy czytelnicy zechcą podjąć decyzję o zakupie powieści po przeczytaniu odcinków zamieszczonych na naszych łamach. Dodajmy jeszcze tylko, że Srokowski pracuje obecnie nad drugą wersją trzeciego tomu i w ten sposób powieść będzie miała dwa zakończenia, co jest rzadkością w naszej literaturze.

Kochanka wielu mężczyzn

STANISŁAW SROKOWSKI

cież my, jak się rzekło, jak najdalej odstepujemy od szerzenia wiary w obce nam klasowo terminy, ciągnące za sobą zgnie i doszczętnie skompromitowane slogany o jakimś jeszcze innym życiu niż to, którego doświadczamy teraz i tutaj, a nie gdzie indziej. Ale okoliczna ludność z największym przekonaniem twierdzi, że tak właśnie było, a przykładem wyjątkowym w tym względzie świeci Mańka Ogórkowa, znana już nam obywatelka, a także Kazio Ziółek, chłop pracujący, co brata z autorytetem w Barwicach miał, potwierdzając tę wersję niestety i ku naszemu utrapieniu także tacy obywatele i obywatelki, jak Katarzyna Wiórek, która już nawet papiery sklepowej otrzymała i do kłamstwa nigdy nie była przyzwyczajona, Anatol Wróbel, tutaj już przywoływany, Józio Kwintal, choć młody, ale przecie trzeźwy obywatel, Zośka Fijałka, znana z tego, iż swego czasu miała widzenie człowieka wielce smutnego i milczącego, a człowiekiem tym okazał się, jak wiadomo, później Czarny Pan, który niejednej szkody we wsiach narobił, dalej, pod przysięgą zeznawał, że widział Białego Koguta, jak się modlił i głowę ku niebu wznosił: Henryk Kwiek, Binkowa Melcia, Jan Kurzawa, Henryk Wólka, Jaromir Bloch i nie zaprzecza temu także nawet sam Warzon Podkowa, jak wiadomo, człowiek w pełni oddany świeckim ideałom wychowania, racjonalista i realista, ale i on na pytanie, czy widział Białego Koguta, w tej fazie doświadczeń coś przebakuje: albo to wiadomo, ale kategorycznie nie zaprzecza, a więc nie zaprzeczając, potwierdza tę wielce podejrzaną wersję wydarzeń. Tak więc, jak się rzekło, wszystko zaczęło się od westchnienia Białego Koguta i od znanych słów: „O roku ów!”. Biały Kogut miał jeszcze coś dodać w rodzaju „dziecielina pała”, ale tutaj obywatele mają tak rozbieżne opinie, że lepiej nie wchodzić w szczegóły, bowiem może się okazać, że sam termin „dziecielina”, budzi różnorakie emocje. Tak, czy inaczej, faktem jest, że słowa te i inne powtarzano już od lata 1956 roku. Nieco zamazuje się tylko o-

braz, wcześniej dość wyraźny, w którym pozycje ideowe Kota i Koguta jakby były niespójne. O ile pamiętamy, poprzednio obywatele kolonijnego zgromadzenia widzieli Czarnego Kocura lub Białego Koguta (wersje z Czarnym i Czerwonym Kogutem również bierzemy pod uwagę), nie mieli w tym względzie żadnych wątpliwości, poza drobiazgami, ale rzecz poczęła się komplikować w kilkanaście dni później, już po żniwach. Otóż rzecz stała się nie tak znowu jednoznaczna jak poprzednio. Nie wiadomo było, komu przypisać należało ostatecznie poszczególne racje, twierdzenia, światopoglądowe, ideologiczne i wręcz filozoficzne przekonania. Tak się składa, po głębszej analizie wystąpień Białego Koguta i Czarnego Kota, że w świetle wcześniejszych doświadczeń, Czarny Kogut miałby reprezentować orientację cyniczno-ironiczną, zaś Biały Kogut orientację optymistyczno-państwowotwórczą. Jednak wiele wątpliwości rodzi teza o zwierzętoku. Tutaj rzecz się zasadniczo komplikuje, bowiem z tej hybrydy i syntetycznej materii trudno jasno i ostatecznie wydobyć wyraźny kształt światopoglądowy i filozoficzny naszych bohaterów, zwierzętoku bowiem zachowywał się dość dwuznacznie, a jeśli jeszcze wziąć pod uwagę skumplenie się i skamracenie Kota i Koguta w ostatnim epizodzie poprzednich relacji, to cały obraz zupełnie traci na swojej jaskrawości. Ba! Nie tylko my mamy z tym kłopoty. Nie tylko my potrafimy dokładnie zarejestrować linię demarkacyjną poglądów Kota i Koguta, podobne problemy, albo i jeszcze większe mają Służby Specjalne, które z natury rzeczy musiały być obecne przy całej sprawie i sprawą winne być zainteresowane i badały ją na swój sposób dogłębnie i wyczerpująco. Nawet, jak wiele miesięcy później komentowała to opinia publiczna rozległej okolicy, Służby Specjalne wzięły na przesłuchanie na przemian Kota i Koguta, ale czy można w to wierzyć? Rozległa okolica opinii publicznej głosiła, że widziano, jak w szarościach wieczoru wjechały do kilku wsi malutkie, zielone samochody i zabrały do swoich wnętrz

kilkadziesiąt Czarnych Kotów oraz kilkadziesiąt Białych Kogutów, w co jeszcze się da uwierzyć, ale żeby z każdym z tych zwierzętaków przeprowadzono indywidualne rozmowy, to już nie bardzo się do wierzenia nadaje. Ale spróbujcie temu zaprzeczyć. Co?! Zaczęły krzyknąć taki Binko Józef. Co?! Nie brali na śledztwie mego koguta?! Albo taki Wojtek Drag. Czyż nie oburzy się, kiedy zwatpimy w jego szczerość? Przecie przyjechali i najpierw przesłuchiwali tutaj Czarnego Kota, a ponieważ Kot nie chciał z nimi mówić, zabrali go na Komisariat. No, mówię wam, zabrali i koniec. Bo myśleli, że ten mój Kot ma coś wspólnego z tamtym, co wystąpił później na zebraniu gminnym. A więc Służby Specjalne prowadziły w tej sprawie śledztwo? Pytałyśmy, przepelnieni nieufnością i podejrzliwością do samej idei tego śledztwa. A pewnie, że prowadziły! Odpowiadali bez mrugnienia oka Łukasz Wąsowski, Józio Kwintal i Jan Kurzawa. A czemuż by nie?! Wykrzykiwały na nas Zośka Fijałka, Kurkowa żona i Katarzyna Wiórek. A pewnie, że brali do Komisariatu! Po niektórych przesłuchaniach to nawet ten, czy tamten Kocur już nie mógł przyjąć do siebie — ze zgrozą dodawały poszczególne obywatelki. Ale przedziwny nad tym epizodem do porządku. Z pewnością Służby Specjalne musiały się tą sprawą interesować, bo trudno sobie wyobrazić inaczej, ale żeby zaraz dochodziło do przesłuchań zwierzętaków, to już chyba lekka przesada. Lecz ludzie wiedzieli swoje. I nie mamy prawa odmawiać im tamtej gorzkiej i grzesznej wiedzy, choć zdecydowanie rozprawiamy się, podkreślając, to jeszcze raz, żeby sprawa była jasna, z takimi poglądami i my sami nie mamy z tą całą sprawą nic wspólnego, a przeciwnie, nie zgadzamy się z takim zamazywaniem rzeczywistości. Niestety, nadal nie wiemy na jakich pozycjach społecznych ostatecznie stanęli Kot i Kogut. Jeśli nawet przyjmujemy, że pozycje te mieszały się i komplikowały, to niczego i tak nie rozwiążemy. Może więc lepiej będzie na ten wielce dla nas kłopotliwy problem spojrzeć z innej strony. Ustalmy sobie, dla naszej tylko wiedzy, że zarówno Kot jak i Kogut, reprezentowały obcą nam klasowo ideologię. I nie dajmy się zwieść nieraz atrakcyjnie i zwodniczo (właśnie) brzmiałym hasłom, wygłaszanym to przez Kota, to przez Koguta. Bo w istocie rzeczy, cokolwiek oba te zwierzętaki głosiły nie zgadza się to ze światopoglądem naukowym i racjami naszych założeń i sojuszy światopoglądowych. Dlatego gorąco protestujemy przeciwko samej naturze idei kotozwierzętaków. Bo czyż można się na coś takiego zgodzić, jak obraz narysowany nam przez naocznych świadków. Otóż już kilka dni po spotkaniu pod Pałacem, drogą szedł Wielki Kogut (proszę zwrócić uwagę, że już nie biały, ani czarny, ale tylko wielki, a wiadomo dla jakich to celów w wielkość ubieramy obce nam idee), więc niby szedł ten Wielki Kogut, i o losie, trzymał w jednym skrzydle kartkę papieru, przygotowując się do przemówienia (a skąd ta pewność, że akurat przygotowywał się do przemówienia?), a w drugim skrzydle niósł dziwny portret, który zartwożył co bardziej światłych obywateli.

(Ciąg dalszy w następnym numerze).

FELIETON

Wprowadzić jeszcze nie wiemy, jakim będzie prezesem Klubu Literackiego przy KMPiK Lubin, Ludwik Gadzicki, ale już wiemy, jaka krąży fama o naszym prezesie. Nie wiemy, jakim będzie prezesem w Lubinie, bowiem swoją pracę (społeczną) tak naprawdę podejmie od września lub od października, i wtedy wykaże się talentami organizacyjnymi, lecz niedawno odwiedziłem pewne zgromadzenie twórcze nauczycieli zajmujących się sprawami literackimi i ku mojemu radościemu zdziwieniu, niemal wszyscy moi rozmówcy znali naszego pana Ludwika, a nie było to byle jakie zgromadzenie, bo przybyło na nie ponad 50 twórców z całego kraju. Imię Ludwika Gadzickiego znane jest na północy Polski i na południu, na wschodzie i na zachodzie. — A gdzie pan Ludwik? A gdzie Ludwik? A gdzie nasz kochany poeta? A gdzie nasz kpiarz? — nieustannie rozlegały się pytania. Niestety, Gadzickiego nie było. I nie wiadomo, dlaczego go tam nie było. Ale to osobny problem, kto tak manewruje tzw. rozdziałnikiem miejsc, że brakuje tego miejsca dla osoby najbardziej przydatnej i najbardziej kompetentnej dla tego typu spotkań. Wszak Gadzicki to ciekawy, acz

niewielu leniwy poeta, ale to świetny interpretator literatury i jej niepojęcie drobiazgowy znawca. Niewielu polonistów potrafi tak zafascynować swoją znajomością współczesnej literatury jak Ludwik Gadzicki. Mało tego, że wydaje polowe poborów na książki, a pewnie i więcej, i często nie dojada, byle kupić książkę, ale jeszcze do tego prowadzi jakby prywatne archiwum literackie, mające w osobnych szufladach wycinki, noty

manistycznego. A nie zapominał, że profesor Gadzicki uczy w szkole typu technicznego. I to nie przeszkadza. A może nawet przeciwnie, to mobilizuje go do większej pracy.

W Warszawie dowiedziałem się, że swego czasu, gdy kierował sprawami literackimi w byłym zarządzie ZNP Jan Morda, oddany temu ruchowi twórca i pedagog, Ludwik Gadzicki był wysoko tam ceniony i szanowany. Pewnie nadal tak jest.

Tylko wciąż męczy mnie pytanie, dlaczego Gadzicki tak rzadko przekazuje swój talent i swoją wiedzę młodszemu kolegom ze szkół? Opowiadał mi poeta z Rzeszowa, Tadeusz Kubas, że bez Ludwika Gadzickiego te „obozy literackie” są nudne i on Kubas, bardzo by chciał spotkać Gadzickiego na wieczorze autorskim, na dyskusji, lub na biesiadzie artystycznej, gdzie zwykle pan Ludwik ma wiele do powiedzenia. Także poetki, a zjawia się ich wcale niemało na takich sympozjach, także rozglądają się za Gadzickim. A jego jak nie ma, tak nie ma. No, i jak tu nie pisać poematów, skoro inni pieją. Nie bądźmy gorliwi, gdy w kraju chwalą naszego. A swoją drogą, kiedy ukaże się zbiór wierszy Gadzickiego w świetnie propagującej ten nurt oficynie TMZL? Tomik poezji Mularczyka dowodzi, że początek został zrobiony dobrze. Może następną książkę zaproponować by Gadzickiemu? Co na to mecenas?!

ANDRZEJ WRZOS

SŁAWA NASZEGO PREZESA

recenzje, szkice i omówienia wielu autorów.

To prawdziwy fenomen pedagogiczny i filologiczny. Rzadki rodzimek. I nie pieję z zachwytu dlatego tylko, że umie gromadzić wiedzę o pisarzu i o książce, ale pieję dlatego, że umie swojej młodzieży zaszcześcić wiedzę o kulturze i jego absolwenci, a ma już ich setki, to ludzie prawdziwie obeznani ze współczesną polską i światową prozą, jakby co najmniej kończyli licea typu hu-

znamy nowych ludzi. W ten sposób zawieramy nieraz przyjaźń na całe życie. W Polsce nie ma zwyczaju ogłoszeń poszukujących znajomości ani sprawnie działających klubów osób samotnych. Ale jest poczta. Jeżeli czytamy dobrą książkę, gdy zobaczyliśmy interesujący obraz żyjącego polskiego artysty, który stał się nam bliski, napiszmy do niego!

Banach uważa, że szczęście jest powinnością, ale jest równocześnie

tek ogarna czytelnika, gdy czyta pod koniec książki, że Polacy są narodem nieszczęśliwym z wielu powodów, także z racji naszej nieszczęsnej ideologii. W XVII wieku byliśmy „przedmurzem chrześcijaństwa”, w XIX wieku „Chrystusem narodów”. Obecnie Polak typowy to człowiek prześladowany. W tej roli czuje się najlepiej. Pomyślmy czasem — sugeruje Banach — że to przedstawienie skończone, bo nikt na całym świecie nie patrzy na nas z po-

JAK BYĆ SZCZĘŚLIWYM?

nie wiedzą. A skoro tak, to można tej wiedzy spróbować się nauczyć, albo przynajmniej próbować się uczyć... Rodzi się pytanie, czy można uciec od nieszczęścia? Niestety, nie. W tym smutnym stwierdzeniu można dostrzec się optymistycznej nuty, jeżeli... Jeżeli będziemy uparczywie studiować szczęście! Myślenie o możliwości szczęścia, szukanie szczęśliwych problemów i praktykowanie ich — to jedynie słuszną drogą. Nie można dopuścić, aby zamieszkała w nas żywa śmierć psychiczna, ona zabija szczęście.

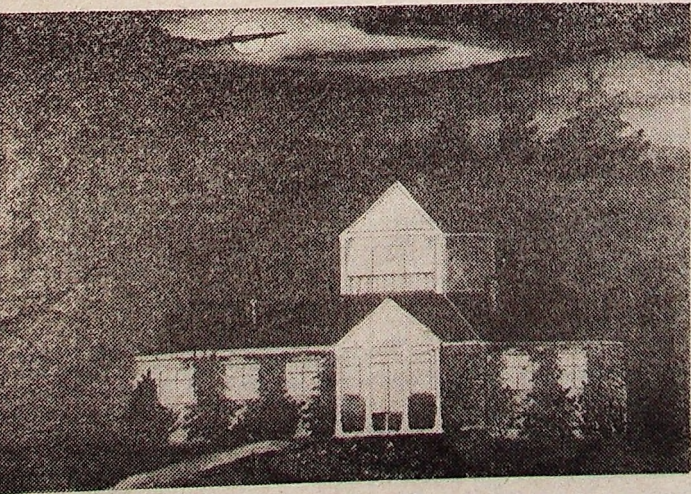
Andrzej Banach to wybitny e-rudyta, koneser sztuki, filozof (uczeln. Ingardena), autorytet. Smu-

żółcem. Ostatni czas, aby zjąć tę maskę.

W tych stwierdzeniach jest sporo przesady (niekontrolowanej!) i trudno przyznać w tym miejscu autorowi rację. Ma ją jednakże w stu procentach, gdy w poście „O szczęściu” pisze, żebyśmy szukali nowych sposobów zadowolenia. Wszyscy mamy troski. Ale sami nie potrafimy się uratować, nie wyciągniemy się z głębiny chwytając za własną głowę...

EMIL BIELA

Andrzej Banach „O szczęściu” — Wydawnictwo Literackie, Kraków 1988 str. 228, cena 550 zł.



TOWARZYSZA KRONIKA KULTURALNA

Może warto wziętym iugziom (mnie) dobrej woli, czy opłaca się przygotować Lubinśkie Spotkania z Literaturą Miłosną zacytować fragmenty choćby jednego z listów, które nadchodzą do organizatorów po wizycie pisarzy w szkołach, klubach i domach kultury. Oto do KMPiK-u wpłynął na adres dyr. Dątkowskiej, z prośbą o przekazanie bohaterom literackiego spotkania, następujących słów: „Droga Pani Winklerowo! Szanowny Panie Ziemianinie! Piszę do Państwa ten list, gdyż jeszcze do dziś pozostajemy pod urzkiem naszego spotkania, za ukazanie nowego, poetyckiego świata. Jesteśmy Wam bardzo wdzięczni.

Jesteśmy co prawda młodzi, więc i pełni radości życia, ale i dla nas nastają bezbarwne, nudne chwile. Wtedy często sięgamy po poezję, znamy ją jednak tylko od strony czytelnika, a tak bardzo pociągają nas poznanie poezji od strony twórcy, że śmiemy prosić Was o przybliżenie nam tajemników tej sztuki. Proszę tę kierujemy właśnie do Państwa — gdyż Wy najbardziej jej bliscy, znacie ją najlepiej.

Mamy nadzieję, że dzięki Wam, bardziej rozwinię się w nas umiłowanie piękna. Naprawdę pragniemy nawiązać kontakt z wielkimi indywidualnościami. Chcemy poznać ludzi, ludzi patrzących na życie i na świat na swój własny sposób. Do nich zaliczamy już od razu Państwa. Naszym pragnieniem jest również poznanie poety — człowieka. Zapewne Państwo, którzy należą do polskiej elity kulturalnej, znają wielu innych artystów. O nich także chcielibyśmy zasięgnąć u Państwa informacji, właśnie u Państwa — gdyż nie często zdarza się nam rozmawiać z ludźmi posługującymi się tak żywym i barwnym językiem. Ponieważ już po przerwie wakacyjnej spotkamy się wszyscy w gronie czwartoklasistów, chcielibyśmy jeszcze raz prosić, aby to właśnie Państwo wprowadzili nas w literaturę współczesną i ułatwili zasmakowanie jej. Przesyłamy najserdeczniejsze pozdrowienia i najcieplejsze życzenia, mając cichą nadzieję, że nasze pragnienie się urzeczywistni i że spotkamy się ponownie. Te serdeczne podziękowania kierujemy na ręce Szanownej Pani Dyrektora Dątkowskiej, która ułatwiła nam kontakt z tak intrygującymi osobowościami.

klasa IIIc (i tutaj następuje podpis 25 uczniów).

Bardzo się nam podoba ten list. Autorzy, pani Winklerowa, która przyjechała do nas spozna Poznania i Adam Ziemianin, który przybył z Krakowa, nie sprzeciwiają się publikacji takiego listu. Jest to powód do radości, że młodzież lubinśkiej szkoły tak głęboko rozumie potrzebę bezpośredniego kontaktu z pisarzem i literacką interpretację dzieła przez samego twórcę. Mamy nadzieję, że zarówno Winklerowa, Ziemianin, jak i inni twórcy nie zawiodą naszej, lubinśkiej młodzieży, która została tak twórczo rozbudzona. Niewątpliwie, to także dzieło polonistów i atmosfery w szkole. Oby więcej było takiej młodzieży, z biegiem czasu będziemy cytować też inne listy, nadchodzące do organizatorów. Brawo młodzieży!

☆

I na zakończenie krótko: Oto fragment listu znakomitego młodego poety, laureata z Lubina, W. I. Strugały... „Tak, teraz moje pisanie, to najspokojniejsze i najradośniejsze ma swój kierunek — LUBIN...”. No, i proszę Jakby odpowiedź na list młodzieży pisarza z województwa szczecińskiego.

KOENIK

SPOTKANIE Z TEMIDĄ

Fiat, ciągnący przyczepkę załadowaną różnymi drobnymi meblami, jechał główną ulicą miasta z nadzwyczajną ostrożnością. Była to ostrożność podyktowana przede wszystkim troską o wieczony ładunek — wiadomo przecież, że meble stanowią w dzisiejszych czasach prawdziwy majątek. Mimo jednak całej pieczołowitości, w którymś momencie jeden z foteli znajdujących się na przyczepie zaczął ocierać się o krawędź burty.

— Zatrzymaj się na chwilę — powiedział pasażer siedzący obok kierowcy. — Wyskoczę i podłożę kawałek papieru, bo się tapicerka całkiem zniszczy...

I Józef L. wysiadł. Podeszedł do przyczepki, ale już nie zdążył uchronić tapicerki fotela. W tym samym bowiem momencie nadjechała furgonetka, potrąciła stojącego mężczyznę, odrzuciła go w kierunku jezdni, a potem przejechała kołami jednej strony pojazdu. Kierowca furgonetki nie zatrzymał się, a w pogoń za nim ruszyły dwie taksówki i „Żuk”.

Na jezdni leżał 49-letni Józef L. i nikt na świecie już nie mógł mu pomóc...

Po kilku minutach obaj taksówkarze i kierowca „Żuka” dopadli drogowego pirata i prawdę mówiąc zatrzymanie go przyszło im bez specjalnych trudności. 34-letni Mirosław M. w ogóle bowiem, od samego początku, sprawiał dziwne wrażenie, chciałoby się rzec — cokolwiek nienormalne... Pewną odpowiedź dało badanie krwi, wykonane w odstępach godzinnych. Wynik 3,15 i 2,99 promille alkoholu mówił sam za siebie, a zachowanie Mirosława M. stawało się bardziej zrozumiałe — po prostu był zupełnie pijany!

Tyle że i później, gdy Mirosław M. był już nie tylko zupełnie

trzeźwy, ale z całą pewnością i nie „na kacu”, również sprawiał co najmniej dziwne wrażenie. I nie szło tu bynajmniej o to, że choć przyznał się do potrącenia i przejechania człowieka, to jednocześnie odmówił składania jakichkolwiek wyjaśnień. Jest to bowiem częsta taktyka i linia obrony podejrzanych i oskarżonych. Natomiast Mirosław M. wyglądał wręcz na niepojętą osobę. Oddano go więc w ręce biegłych lekarzy psychiatrów...

Mirosław M. pochodzi z rodziny inteligentkiej, co wcale jednak nie jest równoznaczne z dobrą rodzi-

potrafił długo zagrazać miejsca. I prawdopodobnie właśnie dlatego uważa się za pechowca, który „niczego nie potrafi doprowadzić do końca i któremu wszystko się wali”.

Jest w tym twierdzeniu sporo przesady. Mimo braku stabilizacji zawodowej, Mirosław M. decyduje się w którymś momencie na rozpoczęcie studiów zaocznych i kończy je — ku swojemu największemu zaskoczeniu — bez specjalnych perturbacji. Tyle, że owe studia absolutnie nie pomagają mu w „ustawieniu się” w pracy. Praktycznie zmienia pracodawców jak rękawiczki i nie zawsze angaż zgodny jest z kierunkiem wykształcenia. Wreszcie Mirosław M. zdobywa zawodowe prawo jazdy



ANNA BORSKA

na. Był to dom na tyle typowy, że nadużywano w nim alkoholu, a o tyle nietypowy — że alkoholiką była matka. Klótnie, niesnaski i wreszcie życiowa bylejakość były w tej rodzinie na porządku dziennym. W końcu do sądu wpłynął pozew o rozwód. Zanim jednak doszło do sądowego werdyktu, problem przestał istnieć — bowiem zupełnie niespodziewanie zmarł ojciec Mirosława M...

Mirosław M. był wtedy kilkunastoletnim wyrostkiem, który akurat musiał pomyśleć o szkole ponadpodstawowej. Wybrał technikum z internatem i wybór okazał się ze wszelkich miar rozsądny. Wprawdzie nigdy nie zaliczano go do uczniów dobrych, nie mówiąc już o bardzo dobrych, ale i systematyczna przeciętność doprowadziła go do matury, którą zresztą uzyskał też za pierwszym podejściem. Później poszedł do pracy, ale z zupełnie niezrozumiałych dla niego przyczyn, nigdzie nie

... zostaje kierowcą w jednym z przedsiębiorstw handlowych.

Jest to chyba najbardziej niezrozumiała decyzja w całym jego dotychczasowym życiu. Po pierwsze bowiem Mirosław M. zdrowie ma byle jakie. Od dawna towarzyszą mu bóle, zawroty głowy i zaburzenia równowagi. Na dodatek nie słyszy na jedno ucho. Po drugie — Mirosław M. od dawna odczuwa przemożny pociąg do alkoholu. Zaczął pić jako 17-latek i od tego czasu — jak sam mówi — miewał kilka okresów, kiedy pił dużo i często. Parokrotnie też próbował zerwać z nałogiem, ale nigdy nie dotrwał do końca — bo czyż zresztą istnieje taki koniec? — leczenia odwykowego. Zdaje sobie sprawę, że kiedy wypije, wzmagają się bóle i zawroty głowy, że zaczyna się straszliwa, męcząca bezsenność, ale nie potrafi przestać pić. Tylko kiedy dolegliwości stają się nie do zniesienia idzie do szpitala na odtrucie. Potem wszystko zaczyna się od początku...

Tego feralnego dnia, kiedy potrącił i przejechał człowieka też widział był pijany, skoro wykazało to badanie krwi. Nie potrafi jednak przypomnieć sobie gdzie, ile, i jaki alkohol pił. „Wszystko mi się wali, jestem człowiekiem pechowym!”.

Biegli lekarze psychiatrzy nie stwierdzili u Mirosława M. niedorozwoju intelektualnego. Zgodni byli natomiast co do tego, że w ośrodkowym układzie nerwowym Mirosława M. istnieją zmiany organiczne. W feralnym dniu Mirosław M. znajdował się „w stanie upicia alkoholem na podłożu patologicznym”, co w znacznym stopniu upośledzało jego zdolność pokierowania postępowaniem, zaś charakteropatiami i nałóg alkoholowy razem upośledziły w stopniu znacznym zdolność pokierowania swym postępowaniem przy rozpoczęciu picia. W przełożeniu na język codzienny oznacza to, że sąd, ferując wyrok, może zastosować nadzwyczajne złagodzenie kary. Psychiatrzy zasugerowali jednocześnie, że ewentualnie orzeczoną karę pozbawienia wolności Mirosław M. winien odbyć w zakładzie stosującym leczenie odwykowe. Dodano również, że z prawem jazdy Mirosław M. winien pożegnać się na zawsze...

W toku prowadzonego śledztwa zasięgnięto również opinii biegłego z zakresu ruchu drogowego i techniki samochodowej. Stwierdził on jednoznacznie, że bezpośrednią przyczyną wypadku była nieostrożna jazda Mirosława M., który nie zachował bezpiecznego odstępu przy omijaniu stojącego przy przyczepie Józefa L. Mechanizmy obu uczestniczących w wypadku samochodów były sprawne...

Sąd rejonowy w G. skazał Mirosława M. na karę trzech lat i sześciu miesięcy pozbawienia wolności oraz orzekł wobec niego zakaz prowadzenia pojazdów mechanicznych na dziesięć lat.

W odczuciu Mirosława M. są to aż (!) trzy lata za kratami. Dla rodziny Józefa L. tylko (!) trzy lata. Ocena sprawiedliwości kary jest bowiem rzeczą niesłychanie subiektywną i budzącą częste emocje. Niestety, ciągle jeszcze równych emocji nie budzi fakt, że często bliski nam człowiek zasiada za kierownicą po kilku głębszych...



POSZUKUJĘ ŚWIADKÓW...

21 czerwca tego roku, około godz. 15, w Lubinie na przejściu

12

dla pieszych przy skrzyżowaniu Alei Niepodległości z ul. M. Skłodowskiej, zostałam potrącona przez motorower „simson”. Doznałam urazu głowy (wstrząs mózgu) oraz licznych obrażeń ciała.

W związku z utratą przytomności po wypadku, nie pamiętam dokładnie jego przebiegu. Wiem tylko, że przechodziłam przez pasy i dochodząc do połowy jezdni spojrzałam w lewo — zobaczyłam wówczas motor jadący wprost na mnie.

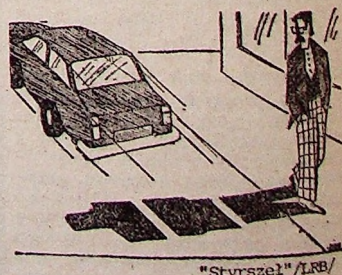
Pełną świadomość odzyskałam dopiero w szpitalu...

Dlaczego piszę o tym do „Polskiej Miedzi”? Otóż jedynymi świadkami w mojej sprawie są kierowca „simsona” i jego pasażer. Zrozumiałe, że ich opinia o tym

wypadku jest w związku z tym niesłychanie subiektywna. Znalazło to zresztą odbicie w aktach powypadkowego dochodzenia. Jak z tych akt wynika, całą winę za wypadek ponoszę ja sama, ponieważ „wbiegłam nagle na jezdnię”. Mam 52 lata, jestem rencistką, a tego dnia na dodatek obciążona byłam zakupami. Jakże więc mogłam „wbiegać”!

W związku z powyższym bardzo proszę wszystkich, którzy widzieli mój wypadek, o pomoc w ustaleniu wszystkich okoliczności tego wydarzenia.

JANINA GRABOWSKA
Lubin
ul. Mickiewicza 40 m. 11



ZA 3 PUNKTY Z MOTOREM

Jedenastka Zagłębia zanotowała znów nie lada sukces. Po raz pierwszy w I-ligowych zmaganiach odniosła zwycięstwo za 3 punkty! Jest to tym bardziej godne odnotowania, iż wywalczyła je w pięknym stylu. Ubiegłotygodniowy, śródowny przeciwnik — Motor Lublin był tylko tłem, zwłaszcza w pierwszej połowie, dla doskonale usposobionej lubińskiej drużyny. Po 5 kolejkach nasz zespół zgromadził 10 pkt. i ustępuje liderowi tabeli GKS Katowice tylko różnicą bramek.

W związku z towarzyszym spotkaniem Polska — Związek Radziecki, które odbyło się na stadionie GOS, w rozgrywkach ligowych nastąpiła przerwa, ale już w sobotę nasza drużyna zmierzy się w Chorzowie z mistrzem Polski Ruchem. Dobra, mądra gra lubinian w dotychczasowych występach I-ligowych, nowej edycji rozgrywek, jest pomyślnym prognostykiem przed zbliżającym się meczem. Chorzowianie, którzy niespodziewanie stracili punkty w ostatnich spotkaniach ligowych, będą chcieli udowodnić swoim kibicom, że te potknięcia były przypadkowe, spowodowane słabszą formą, która już minęła. Możemy mieć więc nadzieję, iż w Chorzowie będziemy świadkami doskonałego meczu dwóch doskonałych zespołów.

Spotkanie z Motorem, choć zapowiadało się atrakcyjnie, zgromadziło na stadionie GOS tylko ok. 8 tys. widzów. Może na słabszą frekwencję wpłynęła iscie tropikalna pogoda!

Od początku meczu gospodarze dyktowali silne tempo, choć w przedmeczowych wypowiedziach szkoleniowców mówiło się raczej, zważywszy na upał, o oszczędnym rozłożeniu sił, tak aby ich starczyło na całe 90 minut. Lubinianie atakowali non stop. I już w 10 minucie zdobyli prowadzenie. Wójcik podciągnął piłkę prawą stroną na odległość ok. 30 m od bramki Motoru, i skierował ją w kierunku Kudyby podbiegającego na pole karne przeciwnika, a ten głową posłał piłkę w lewy róg bramki. Była to piękna akcja godna najlepszych europejskich boisk. Następnie Góra i Szewczyk mieli

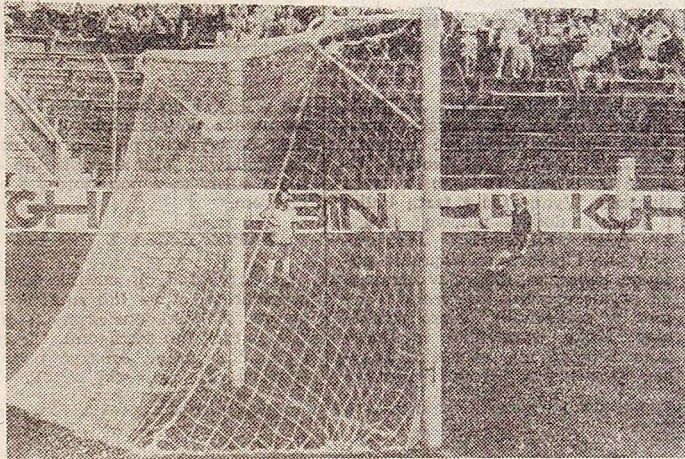
okazję podwyższenia wyniku, ale na drugą bramkę musieliśmy czekać do 33 minuty. Kiedy po fałowych atakach, Kujawa, również głową, skierował piłkę ponownie do bramki gości. W 35 min. Zejer ograł dwóch obrońców i skierował piłkę na przedpole przeciwnika, ale strzał Godlewskiego był minimalnie niecelny. Kolejno Góra miał dwie szanse — w 36 min. piłka otarła się o poprzeczkę i wyszła na aut oraz w 44 min. trafiła w słupek. Po zmianie pół gra się wyrównała i goście coraz częściej atakowali bramkę Baki, a lubinianie starali się z kontry uzyskać kolejnego gola. I tak się też stało w 67 min. Po odebraniu piłki przez Pietrzykowskiego, ten podał ją Machajowi. Widząc zagrożenie i chcąc uniemożliwić oddanie strzału, bramkarz gości Opolski wybiegł na linię „jedenastki”. Piłka trafiła jednak na głowę Godlewskiego, który łobem przeniósł ją ponad bramkarzem gości. Był to prawdziwy majstersztyk naszego ofensywnego pomocnika, świadczący, iż nasz kadrowicz ma instynkt rasowego piłkarza i potrafi myśleć na boisku! Wygrana za 3 pkt. w pełni

zadowolili zespół gospodarzy, ale do końcowego gwizdka kontrolowali sytuację na boisku.

Na konferencji prasowej trener Motoru PAWEŁ KOWALSKI powiedział min.: „Był to dobry, zwycięski I-ligowy pojedynek. Zwycięstwo Zagłębia w pełni zasłużone, choć może zbyt wysokie. Po przerwie moja drużyna nie wykorzystwała kilku dogodnych okazji, z których mogły paść bramki, a przez pierwsze 45 minut graliśmy zbyt asekuracyjnie”.

STANISŁAW ŚWIERK — I trener Zagłębia: „Po raz pierwszy Zagłębie pokonało I-ligowego przeciwnika za 3 pkt. Jest to duży sukces lubińskiego zespołu. Mam nadzieję, iż nie ostatni... Czekają nas teraz ciężkie mecze — z Ruchem, GKS i Legią. Myślę, iż chłopcy zechcą udowodnić, iż dotychczasowa pozycja w tabeli jest w pełni zasłużona, ale czy uda nam się utrzymać tak wysoką pozycję w tabeli, wkrótce zobaczymy”.

Zagłębie wystąpiło w składzie: Bako, Chwaliszewski, Kujawa, Pietrzykowski, Wójcik, Szewczyk, Godlewski, Zejer (od 62 min. Marciniak), Góra, Kudyba, Machaj.



Piękny łob Godlewskiego i... piłka w siatce.

Fot. J. Kosiński

PRZEGRALI Z SĘDZIĄ

Arbiter meczu Hutnik — Miedź p. Diakonowicz swoją decyzją, przyznającą rzut karny dla gospodarzy, wypaczył nie tylko przebieg krakowskiego spotkania, ale spowodował utratę przez legniczan jednego punktu. Redakcja sportowa tv relacjonowała kilka razy to wydarzenie.

Legniczanie byli przez prawie cały mecz (jedynie od 20 do 35 min. krakowianie mieli przewagę) równorzędnym przeciwnikiem dla doświadczonych II-ligowców. W zmianie pół jedenastka Miedzi miała nawet kilka tzw. 100-procentowych okazji strzeleckich. Niestety, nie wykorzystanych.

Miedź wystąpiła w składzie: Wichlacz, Staciewicz, Pierończyk, Krawczyk, Walowski, Gajdzis, Muranowicz, Sitko, Michalski, Baziuk, Kochanek (od 84 min. Bartyzel).

W sobotę o godz. 17 zespół Miedzi przyjmuje jedenastkę Stali Rzeszów. Jest to dobra i doświadczona drużyna. Wydaje się — iż legniczanie powinni tym razem wykorzystać atut własnego boiska i pojedynczo rozstrzygnąć na własną korzyść.

W KNUROWIE ZA PUNKT MINUSOWY

Bez swoich najlepszych piłkarzy — Galki i Prokopa — wyjechała do Knurowa drużyna Chrobrego. Gospodarze wykorzystali szansę i wygrali za 3 pkt., pokonując glogowian 3:0 (2:0). W czasie tego spotkania kontuzję odniósł kolejny zawodnik Chrobrego — Lewandowski. Jest to poważne osłabienie drużyny, a czeka ich wyjazdowy mecz w Czeladzi, gdzie trudno wygrać nawet najlepszym. Może glogowska młodzież sprawi swoim sympotykom jakąś niespodziankę?

Chrobry wystąpił w zestawieniu: Wilczek, Małucki, Król, Lewandowski (od 25 min. Wanat), Pietruszko, Skowroński, Czajkowski, Popek (od 72 min. Zollik), Bukowski, Sokółowski, Olbiński.

Mach.

Zagłębie wyeliminowane z PP!

W meczu IV rundy Pucharu Polski doszło do największej, dla nas nieprzyjemnej, niespodzianki. Drużyna ligi okręgowej — Florian Olaszyn wyeliminowała wicelidera I ligi — lubińskie Zagłębie. Spotkanie w normalnym czasie zakończyło się remisem 2:2 (0:1). Dogrywka nie przyniosła rozstrzygnięcia i o awansie zadecydowały rzuty karne. Lepsi okazali się „kominarze”, wygrywając stosunkiem 5:4. Fatalnie wykonywali swoje „karne” Kudyba i Tyszkiewicz. Ich sygnalizowane strzały pozwoliły bardzo dobremu bramkarzowi Floriana, wylapać piłki...

Dla mieszkańców podwrocławskiego osiedla Olaszyn pucharowy mecz z Zagłębiem był prawdziwym świętem. Na stadion przybyły całe rodziny, które długo fetowały zwycięstwo swoich pupili. Sukces jest ogromny, i co ważniejsze, zupełnie zasłużony. Nagrodzona została bowiem wielka bojowość i ambicja oraz gra na pełnych obrotach do końcowego gwizdka.

I-ligowcy przybyli do Wrocławia

wia w mocno osłabionym składzie, bez swoich kadrowców: Baki i Godlewskiego, przebywających w tym czasie na stadionie GOS, Kujawy, Zejery i Szewczyka, ćwiczących na obozie w Złotorii oraz Pycia — w Jaworznie, gdzie odbył się mecz olimpijski między Polską i Bułgarią. Brak tej szóstki dał się mocno we znaki w niedzielnym meczu. Okazało się, iż rezerwy są zbyt słabe, by mogły z powodzeniem zastąpić „etatowców”. Marciniak, mimo pięknej, zdobytej z ostrego kąta bramki, wciąż ma kłopoty z opóźnieniem piłki. Dylus także jest w „wakacyjnej formie”, zawołał zupełnie linią defensywną. Wójcik i Słowakiewicz nie mogli poradzić sobie z szybkimi i zwrotnymi napastnikami Floriana, a Pietrzykowski demonstrował styl gry na poziomie dalekim od I-ligowca. Może jedynie Chwaliszewski nie popełnił większych błędów.

Od początku meczu widać było, iż nasza jedenastka chce wygrać mecz „na stojąco”. Na ma-

łym i wąskim boisku o nierównej nawierzchni, trudno było przeprowadzić jakieś akcje techniczne, a mimo to lubinianie forsowali grę krótkich podań, które w większości kończyły się wybięciem piłki na rzut rożny lub na aut. Celne strzały stawali się lupem świetnego bramkarza z Olaszyna. Nic jednak do przerwy nie zapowiadało końcowego niepowodzenia. Już w 10 min. Marciniak uzyskał prowadzenie i lubinianie nadal atakowali. Jedną z kontr gospodarzy w 12 min (Koszarski obronił pewnego gola, wybijając piłkę nogą), powinna była zmobilizować obronę Zagłębia do bardziej uważnej gry. Niestety, nie się takiego nie stało. W dalszym ciągu cała defensywa zbyt daleko wysuwała się do przodu. Na efekty nie trzeba było długo czekać. W 50 min. wrocławianie wyrównali na 1:1 i gdy wydawało się, iż lubinianie zdobyli awans (Kudyba w 55 min. uzyskał prowadzenie), na kilka minut przed zakończeniem spotkania (86 min.) wyrównali na 2:2,

po błędzie naszych obrońców. 30-minutowa dogrywka nie przyniosła rozstrzygnięcia i dopiero rzuty karne zadecydowały o porażce lubinian. W piątej kolejce do „jedenastki” podchodzi Kudyba. Jego strzał jest jednak zbyt sygnalizowany i bramkarz Floriana wylapuje piłkę bez większego trudu. Również wykonanie „karnego” przez Tyszkiewicza, najsłabszego zawodnika lubińskiej drużyny, było anemiczne i piłkę wybił bramkarz Kaczmarek.

W sumie był to najsłabszy występ Zagłębia od rozpoczęcia tegorocznych rozgrywek. Na uznanie zasłużył jedynie Koszarski.

Zagłębie wystąpiło w zestawieniu: Koszarski, Chwaliszewski, Słowakiewicz, Pietrzykowski, Wójcik, Dylus (od 70 min. Tyszkiewicz), Machaj, Ciliński, Góra, Kudyba, Marciniak (od 68 min. Kubit).

Mach.



WĘDRÓWEK CIĄG DALSZY

Interesującą i tanią formą turystycznych eskapad są wyprawy rowerowe. Planujemy je zawsze z wyprzedzeniem, zastanawiając się nad doбором trasy i towarzysztwa. Najlepiej umawiać się w grupach niewielkich, nie przekraczających 10-15 osób. Łatwiej wtedy załatwić sprawy organizacyjne, starać się o noclegi itp.

Wybierając się na dłuższą wycieczkę lub urlop na zwyczajnych rowerach turystycznych nie będąc wprawniymi kolarzami — planujemy dzienne etapy w granicach 50-70 km, średnio zaawansowani i na lepszym sprzęcie mogą pokonywać trasy do 100 km dziennie, a najbardziej wpraw-

ni i na najlepszym sprzęcie powyżej 100 km.

Do wyprawy takiej należy oczywiście wcześniej się przygotować. Dobrze jest przejechać podczas sobotnio-niedzielnego popołudniowych treningów podwójną długość projektowanej trasy. Daje to gwarancję dobrego samopoczucia na wycieczce. Mniej sprawnym i dysponującym starymi, ciężkimi rowerami polecamy dojeżdżanie do miejsca docelowego np. pociągami, rozbicie biwaku i w ciągu następnych dni organizowanie wycieczek po okolicy, bez żadnego obciążenia.

Jeśli chodzi o bagaż, to starajmy się go maksymalnie ograniczyć. Nie powinien on przekraczać 15-20 kg. Im będzie cięższy, tym wycieczka sprawi nam mniej przyjemności.

Rower winien być wyposażony w lekki, tylny bagażnik, a także dwie specjalne rowerowe sakwy, które można uszyć samemu z mocnego i nieprzemakalnego materiału. Powinny one mieć kształt

prostopadłościanów. Ich długość wzdłuż roweru nie może przekraczać długości bagażnika, a wysokość musi być nieco mniejsza niż od krawędzi bagażnika do osi koła. Góra zamykana kląpą, a zapiecie na suwaki bądź paski. Dobrze, by sakwy miały także po kilka kieszeni na dokumenty, mapy, przewodniki, drobny sprzęt podręczny itp.

Pakujemy sakwę wg zasady — rzeczy najcięższe na dnie i potem kolejno coraz lżejsze. Na wierzchu sakwy (bądź załadowanego bagażnika) mocujemy w poprzek śpiwór. Drugi taki sam worek jak na śpiwór możemy uszyć sobie ewentualnie na kurtkę i sweter, przez co uzyska się więcej miejsca w sakwach.

Nie radzimy wozić na rowerze namiotu i materaca (ciężkie).

Polecamy korzystanie z tanich schronisk młodzieżowych. Legitymację uprawniającą do pobytu w tych schroniskach nabyć można w wojewódzkich oddziałach Polskie-

go Towarzystwa Schronisk Młodzieżowych.

Ważne w czasie rowerowej wycieczki jest jedzenie i picie. Zapobiegamy temu mając pod ręką bidon i małe, porcjowane, kaloryczne posiłki.

Pamiętać też trzeba o zabraniu ze sobą podstawowego zestawu narzędzi i rowerowego osprzętu. Jeżeli jedzie grupa, każdy bierze do swojego bagażu jedną rzecz. Przede wszystkim trzeba pamiętać o komplecie kluczy, zapasowych dętkach i aparaturze do ich naprawy oraz dodatkowych sprzączkach, klockach hamulcowych i linkach do hamulców i przerzutek.

Przed wyruszeniem na turystyczną eskapadę na dwóch kółkach trzeba koniecznie poddać rowery dokładnemu przeglądowi.

Zyczymy udanych wycieczek.

wg



● Kalafior, szparagi, kapustę, pory gotujemy bez przykrycia. Pod przykryciem gotujemy marchew, ziemniaki, buraki, seler i pietruszkę. ● Marchew na jarzynkę wygodniej jest najpierw ugotować a potem pokroić, nie zaś odwrotnie. ● Zielone pomidory, już

ostatnie na działce, które nie zdążyły dojrzeć wyrwywamy razem z korzeniami i wieszamy (korzeniami do góry) w suchym, przewiewnym miejscu. Dojrzewać będą wprawdzie powoli, ale będą czerwone i jędrne. Pomidory w ogródku będą dorodne, jeśli w promieniu 5-10 cm od łodygi krzaka posypimy trochę soli i przysypimy ją ziemią. ● Zaplamione mlekiem tkaniny delikatne i ze sztucznego włókna pocierać galgankiem zwilżonym gliceryną i dobrze potem spłukać wodą. Tkaniny wełniane czyścić tamponem

zwilżonym benzyną ekstrakcyjną a wilgotny ślad posypać talkiem. ● Plamy z soków cytrusowych na tkaninach o trwałych kolorach naderżających się do gotowania: na 2 godziny zanurzyć w wodzie z dodatkiem amoniaku. Potem wyprać. Tkaniny kolorowe, które farbują: 1) zanurzyć w 2-procentowej wodzie utlenionej z dodatkiem paru kropel amoniaku i natychmiast spłukać, 2) zanurzyć na kilka godzin w zsiadłym mleku, wyprać w mydlanej wodzie i dobrze spłukać. Tkaniny wełniane i jedwab naturalny: pod płamę podłożyć czystą

szmatkę i czyścić galgankiem zwilżonym octem. Dobrze spłukać. Biała bawełna: zamoczyć w 3-procentowej wodzie utlenionej i za pomocą kropelniczki nasycić 5-10 kroplami 10-procentowego amoniaku. Szybko, dobrze spłukać. Całość starannie wyprać w ciepłej, mydlanej wodzie z dodatkiem chlorku (1 łyżeczka roztworu chlorku na 1 l wody). Plukać. Odzież wełniana i trykotaże: płamę pocierać 2-procentową wodą utlenioną z dodatkiem kilku kropel amoniaku i szybko spłukać.



KABACZEK

1 kabaczek (około 1 kg), 30 dag pieczarek, 15 dag cebuli, 1/2 szklanki zrumienionej tartej bułki, 2 jajka, 10 dag utartego żółtego sera, 1 łyżka maki, 1 szklanka śmietany, sól, pieprz, posieka-

na zielona pietruszka, 3 łyżki smalcu. Kabaczek obrać, przekroić wzdłuż, wydrążyć nasiona. Pieczarki umyć, poszatkować. Uduśić z cebulą dodając 2 łyżki tłuszczu. Wymieszać z tartą bułką i jajami, dodać połowę sera i 2 łyżki pietruszki. Przyprawić solą i pieprzem. Napęścić półki kabaczka, ułożyć w kamionce posmarowanej tłuszczem i zapiec w piekarniku lekko rumieniąc. Makę wymieszać ze śmietaną i polać nią kabaczki. Posypać pozostałym serem i ponow-

nie wstawić do piekarnika. Lekko zrumienić powierzchnię i na koniec, po wyjęciu, posypać pietruszką. Podawać jako samodzielne danie z surówką z pomidorów i pieczywem.

ZAPIEKANKA Z CUKINI

60 dag młodych cukini, 60 dag pomidorów, oliwa lub smalec, sól, pieprz, 2 łyżki posiekanych listków bazyli lub estragonu. Cukinię i pomidory umyć, osuszyć, pokroić w plasterki grubości około 1/2

centymetra. Posmarować tłuszczem żaroodporne naczynie. Ułożyć na nim plasterki pomidorów i cukini, oprószyć pieprzem i skropić obficie oliwą lub smalcem. Wstawić do piekarnika nagrzanego do około 180 st. C. i zapiec, równomiernie rumieniąc. W trakcie zapiekania polewać sosem, który wydzieliły warzywa. Zapieczoną potrawę oprószyć równomiernie solą i posypać posiekanymi listkami roślin przyprawowych. Podawać jako dodatek do potraw z mięs, ryb lub ja



Bardzo ważne jest, zwłaszcza latem, utrzymanie ciała w czystości oraz niedopuszczenie do przykrych skutków nadmiernego pocenia się. Pocenie się rośnie podczas upałów, pod wpływem emocji i stresów, wysiłku fizycznego, czasem po wypiciu gorących płynów

czy alkoholu. Podstawą zachowania czystości jest codzienny natrysk, kąpiel czy dokładne umycie się w misce. Najlepiej myć całe ciało ciepłą wodą a spłukać letnią. Obok wody i mydła, powinniśmy używać dezodorantów. Oczywiście, działają one tylko wówczas, gdy stosuje się je na czystą, umytą skórę a nie zamiast mycia. Dużych kłopotów przysparza wzmożona potliwość stóp, zwłaszcza latem. Ich pielęgnacja polega na codziennym myciu, kąpielach raz w tygodniu z dodatkiem soli kąpielowych lub leczniczych, na

koniec spłukiwaniu zimną wodą. Ważne jest, aby po myciu wycierać stopy do sucha, szczególnie między palcami. Pomocne są higieniczne zasypki i talki. Obuwie powinno być przewiewne, najlepiej ze skóry, w dni gorące dobre są buty tekstylne. Konieczne jest codzienne zmienianie skarpet, pończoch i rajstop. Przy dużej potliwości stóp wkładki do butów powinny być co pewien czas zmieniane. Pamiętajmy też, że nie utrzymać się przyjemnego zapachu ciała, jeżeli, mimo codziennych kąpiei czy natrysków, nie będzie

się zmieniać bielizny, oddawać garderoby do czyszczenia, wietrzyć swetrów, żakietów a także prać, bądź oddawać do chemicznego czyszczenia ubrań ciemnych, które również szybko się brudzą choć jest to mniej widoczne. Jak często te podstawowe zasady higieny są łamane, przekonujemy się jeżdżąc np. w zatłoczonym autobusie. „Bukiet” zapachów jest tak bogaty, że przyprawia nas o zawrót głowy. Oburzamy się tym niechlujstwem naszych współpasażerów, ale czy w tym „bukiecie” nie mamy i my swego udziału?



FILTRY POWIETRZA

Jednym z warunków długiej i niezawodnej pracy silników jest pobór czystego powietrza z otoczenia. Dzisiaj nie jeździmy już po zakurzonych bezdrożach, a jedynie sporadycznie polnymi drogami. Niemniej jednak osiadający pył na przedniej szybie umniejsza

jak zanieczyszczone jest powietrze.

Filtr powietrza musi zatrzymać nie tylko widoczne, ale również i te niewidoczne cząsteczki zanieczyszczeń. W przeciwnym przypadku grozi niebezpieczeństwo szybkiego zużycia pracujących części silnika. O ilości zużywanego powietrza przez silnik mówi przykład: na uzyskanie mocy 1 kW silnik potrzebuje w przybliżeniu 80 l powietrza na minutę. Natomiast na spalanie 1 l paliwa silnik zużywa 10 do 12 m sześć. powietrza.

Zawartość zanieczyszczeń w powietrzu jest, oczywiście, zależna od stanu drogi, pogody i natężenia ruchu. Ważną rolę spełnia ilość zanieczyszczeń, ich skład, wielkość cząstek, ich twardość. Grubsze zanieczyszczenia (i duża

ich twardość) przedstawiają największe niebezpieczeństwo. Mogą one wnikać między wzajemnie poruszające się części, które są z dużą dokładnością pasowane. Cząsteczki zanieczyszczeń naruszają warstwę oleju oddzielającą ruchome części, a w dodatku powodują zarysowanie powierzchni, co może w skrajnym przypadku doprowadzić do zatarcia.

Sprawy filtr powietrza musi zatrzymać nie tylko grubsze zanieczyszczenia, ale chronić silnik także przed cząsteczkami wielkości kilku mikrometrów oraz utrzymywać przez dłuższy czas wysoką sprawność. Dlatego filtry budowane są w ten sposób, aby miały jak największą powierzchnię czynną, przy małych wymiarach zewnętrznych. Materiałem filtrującym jest najczęściej papier im-

pregnowany o odpowiedniej strukturze.

Stopień zanieczyszczenia filtra powietrza ma istotny wpływ na zdolność samochodu do przyspieszenia i na zużycie paliwa. Pod tym względem należy ściśle przestrzegać zaleceń wytwórcy odnośnie częstotliwości wymiany filtra. Nie wolno usuwać warstwy włókniny pokrywającej z zewnątrz filtr papierowy. Usunięcie tej włókniny zwiększa kilkakrotnie opory przepływu w miarę osadzania się pyłu w filtrze — w porównaniu z filtrem z warstwą włókniny. Przyczyną tego zjawiska jest przestraszenie osadzanie się ziaren pyłu w warstwie włókniny, co nie powoduje istotnego wzrostu oporów przepływu. Podobne efekty występują przy zawilgoceniu filtra wodą lub olejem.

Z.B.

PROGRAM 1/2 TELEWIZYJNY

CZWARTEK — 1989-08-24

9.00 Kino teleferii: „Złote pantofelki” (1).

10.15 Iskra do Leningradu.

11.15 Teleexpress.

12.30 Z wiatrem i pod wiatr.

13.00 Ojczyzny mojej pieśni śpiewam.

13.50 Bez granic.

14.00 Dobranoc.

14.10 „Teraz”.

14.30 Dziennik telewizyjny.

15.00 „Policjanci z Miami” — film prod. USA.

16.40 Kroniki PAT — „Tak było...”.

17.55 „Pegaz”.

22.45 Zawsze po 21.

23.25 Dł — echa dnia.

PROGRAM II

13.00 Program lokalny.

13.30 „Strach na Lachy” (15) — serial animowany.

14.00 Magazyn „102”.

14.30 „Świat roślin” (9) — serial przyrodniczy.

20.00 Studio sport.

21.00 Ekspres reporterów.

21.30 Panorama dnia.

21.45 „Ucieczka z Sobiboru” (1) — film prod. angielskiej.

PIĄTEK — 1989-08-25

9.00 Zielone teleferie.

9.30 Kino teleferii: „Arabella”.

15.15 „Już nie szumią na gór szczyty” — film dokumentalny.

16.40 Domator.

16.45 Intersygnal.

17.15 Teleexpress.

17.30 Tutaj czas nie goni mnie — „Zawazd”.

18.00 „Hakra” — film dok.

18.30 Telewizyjny informator wydawniczy.

18.50 Bez granic.

19.00 Dobranoc.

19.10 Monitor rządowy.

19.30 Dziennik telewizyjny.

20.05 Kino muzyczne Kydryńskiego: „Zabawna pani” — musical prod. amerykańskiej.

22.30 Kroniki PAT — „Tak było...”.

22.45 „Czas”.

PROGRAM II

13.00 Program lokalny.

16.30 Wrockowa lista przebojów Marka Niedzwickiego.

19.00 Konwój.

19.30 Dookoła świata.

20.00 Studio sport.

20.50 Brawo dla Grażyny Brodzińskiej.

21.30 Panorama dnia.

21.45 Orkiestra dęta w Clermont Ferrand — reportaż.

22.30 Filmy z Humphreym Bogartem: „Mroczne przejście” — film prod. USA.

0.10 Komentarz dnia.

SOBOTA — 1989-08-26

8.55 Kino teleferii: „Przygody dobrego smoka” — film prod. węgierskiej „Siedem życzeń” (6) — serial TP.

10.30 Dł — wiadomości.

10.40 Stare, nowe, najnowsze.

11.10 „Bellona”.

11.40 Telewizyjny koncert życzeń.

12.10 Flesz.

12.30 Telewizyjny Teatr Prozy z cyklu: „Mówi Chandler” — „Tajemnica jeziora” (2).

13.35 „Prezydenci” — William McKelvey.

14.05 Komedie, komedie, komedie... — „Cafe pod Minogą”.

14.35 „Polska walcząca 1939-1945” (1).

16.45 Teleexpress.

17.00 Studio sport.

18.00 Dobranoc.

19.10 Z kamerą wśród zwierząt.

19.30 Dziennik telewizyjny.

20.05 Sobotni seans filmowy: „Boska istota”.

21.55 Tydzień w polityce — komentarz Karol Szyndziol.

22.05 Teatr telewizyjny — Jaroslav Hašek: „Spotkania ze Szwajcarią” (6).

22.25 Telewizyjny przegląd sportowy.

23.45 Baw się z nami w disco.

23.30 Telegaza.

23.35 Kino nocne: „Prawo gwałtu” — dramat społeczno-obyczajowy prod. amerykańskiej.

PROGRAM II

11.30 Konkurs 5 milionów.

12.15 Trzy godziny z Telewizją Katowice.

13.15 Bariery.

14.00 Program dnia.

14.45 Małe kino: „Szerpowie” — film dokumentalny.

16.15 „5-10-15” — program dla dzieci i młodzieży.

17.00 Konwój.

18.00 Program lokalny.

18.30 Zza kulisy Spotu.

19.30 Balet narodowy Kuby prezentuje.

20.00 Studio sport.

21.00 Barwy jazzu.

21.30 Panorama dnia.

21.55 „Chateaufallou” (16) — serial prod. francuskiej.

NIEDZIELA — 1989-08-27

8.55 Kino teleferii: „Fantastyczna ciotka”.

10.30 Dł — wiadomości.

10.35 „Ludy Ziemi” (6) — „Yanomami” — serial dokumentalny.

11.35 Kraj za miastem.

12.05 Telewizyjny koncert życzeń.

12.50 Gdzie są ślady z tamtych lat.

13.25 „Morze” — magazyn.

13.45 „Próbując przeniknąć rytm serca prądowym...”.

14.10 Piepiz i wanilia — „Nieznany kraj”.

14.55 Studio sport.

15.35 „Panna dziewczynka” (15) — serial prod. brazylijskiej.

17.15 Teleexpress.

17.30 Studio sport.

18.40 „Antena”.

19.00 Wieczorka.

19.30 Dziennik telewizyjny.

20.05 „Światła kabaretów” (7 — ost.) — serial prod. angielskiej.

21.00 7 dni — świat.

22.30 Sportowa niedziela.

23.30 Kinomania.

PROGRAM II

11.25 Przegląd tygodnia (dla niesłyszących).

12.00 Film dla niesłyszących: „Światła kabaretów” (7 — ost.) — serial prod. angielskiej.

12.55 Broni polskiego nieba.

13.25 „Jutro poniedziałek”.

13.55 Program dnia.

14.00 Polska Kronika Filmowa.

14.10 100 pytań do... — „Struna” — film dokumentalny.

14.45 Aktualności kulturalne.

15.00 „Polacy” — „Struna” — film dokumentalny.

15.30 Studio sport.

15.45 „Niedziela w Plymouth” — reportaż.

16.00 Zbliżenia, czyli to i owo o filmie.

16.45 Konwój.

17.15 Studio sport.

17.30 „Bliznę świata”.

19.00 Wywiady Ireny Dziedzic — kapitan żegluga wielkiej Tadeusz Kutek.

19.30 Galeria „Dwójki” — Jerzy Szot.

20.00 Studio sport.

21.00 „Usta milczą, dusza śpiewa” — popularne arie i duety operetkowe.

21.30 Panorama dnia.

21.45 „Quica” (6 — ost.) — serial prod. angielskiej.

22.35 Komentarz dnia.

22.40 Studio sport.

PONIEDZIAŁEK — 1989-08-28

17.15 Teleexpress.

17.30 „Skarbiec” — magazyn historyczny.

18.10 Echa stadionów.

18.50 Bez granic.

19.00 Dobranoc.

19.10 Gotage Linie.

19.30 Dziennik telewizyjny.

20.05 Spektakl na bis — Jean Mazarene: „Kolabo-song”.

21.35 Kroniki PAT — „Tak było...”.

21.50 „Jacy jesteśmy” — program publicystyczny.

22.15 Plnik country — Mrągowo '89.

PROGRAM II

18.00 Program lokalny.

18.30 „Czarno na białym” — przegląd PKF.

19.15 Antena „Dwójki” na najbliższy tydzień.

19.30 Życie muzyczne.

20.00 Teletrans.

20.40 Festiwal muzyki — Łańcut '89.

21.30 Panorama dnia.

21.45 Biografie: „Z drugiej strony raju — historia Scotta i Zeldy Fitzgeraldów” — film dok. prod. anglosk-amerykańskiej.

WTOREK — 1989-08-29

9.00 Teleferie: „Wakacje z Neptunem i Ikarzem”.

9.30 Kino teleferii: „Chłopcy z naszego osiedla” (6).

17.15 Teleexpress.

17.30 Z wiatrem i pod wiatr.

17.55 „Kapitan Katugin depeszuje do Stalina” — program dokumentalny.

18.20 „Gliniane tablice, czyli cztery stolice starożytnej Asyrii” — film dokumentalny.

18.50 Bez granic.

19.00 Dobranoc.

19.10 Magazyn konsumentów „Stop”.

19.30 Dziennik telewizyjny.

20.05 „Gdańsk '89” (3) — „Kółko trojańskie” — serial TP.

21.05 Kroniki PAT — „Tak było...”.

21.20 „Suplikacje wrześnie” — program poetycki.

21.50 Wokół wielkiej sceny.

PROGRAM II

18.00 Program lokalny.

18.30 „Jarcin” — reportaż.

19.30 „Blisko nieba” — Na skrzydłach.

20.00 „ABC” — teleturniej językowy.

20.30 „Wietnam” — program dokumentalny.

21.00 Studio sport.

21.30 Panorama dnia.

21.45 Studio „Solidarność”.

22.30 „Miołacz poży” — film fab prod. jugosłowiańskiej.

ŚRODA — 1989-08-30

9.00 Teleferie najmłodszych: „Zgadywanie na ekranie”.

9.35 Kino teleferii: „Legenda o żartownisku zwanym Kuwencie” (3).

16.50 Losowanie Express i Super Lotka.

16.55 Telewizyjny informator wydawniczy.

17.15 Teleexpress.

17.30 „A las czeka”.

17.45 „Król komputerów” — film prod. TP.

18.50 Bez granic.

19.00 Dobranoc.

19.10 „Bocznymi drogami”.

19.30 Dziennik telewizyjny.

20.05 „Kronika wypadków miłosnych” — film fab. prod. polskiej.

22.05 Kroniki PAT — „Tak było...”.

22.20 Spojrzenia.

22.50 Studio sport.

PROGRAM II

18.00 Program lokalny.

18.30 Świat festynów.

19.00 Przeboje Teatru Muzycznego w Gdyni.

19.30 Zwierzęta wokół nas.

20.00 Konwój.

20.30 Festiwal chopinowski — Duszynki '89.

21.00 „Z ziemi polskiej” — film dokumentalny.

21.30 Panorama dnia.

21.45 „997” — kronika milicyjna.

22.45 „W labiryncie” (35) — serial TP.

WROŻBY SPOD MIEDZIAKA

● Baran (21 III—18 IV) Otrzyma w tych dniach wiadomość posłuży ci do właściwego zaplanowania niektórych spraw bieżących. Spotkanie z kimś sympatycznym, nawet jeśli przypadkowe, niech nie będzie ostatnie! Gra warta świeczki.

● BYK (19 IV—20 V) Przygotowania do czekających cię obowiązków, może trochę przedwcześnie, okazały się bardzo potrzebne. Nie będzie ci czas stracony. Fakt, że ubiegiesz innych, może się tylko okazać bardzo korzystnym posunięciem z twojej strony.

● BLIZNIĘTA (21 V—22 VI) Bardzo przydałyby się w tych dniach rozmowy z kimś zaprzyjaźnionym, a dawno nie widziannym. Takie odświeżenie kontaktów dobrze zrobi obu stronom. Przy okazji może narodzić się inicjatywa godna energicznego zająć się nią.

● RAK (23 VI—22 VII) Jeśli nawet zorientujesz się w intrzygach, które ktoś próbuje prowadzić przeciw tobie, nie zdradzaj się z tym. Najpierw przygotuj się do odparcia argumentów, dopiero potem wystąp i zdejmuj sprawę bez żadnych skrępowań.

● LEW (23 VII—22 VIII) Trzeba się będzie zdecydować na jakieś konkretne rozwiązanie w sprawie od dawna zaprzatającej twoje myśli. Za wielu doradców nie nie da, trzeba zdać się na własne rozeznanie we wszystkich okolicznościach. W końcu ostatnie słowo będzie należało do ciebie.

● Panna (23 VIII—22 IX) W

spór, z którym zetkniesz się zupełnie nieoczekiwanie, staraj się nie angażować. Nie będą to sprawy dotyczące ciebie osobiście, twoja ewentualna ingerencja może tylko niepotrzebnie zagmatwać sytuację. Wkrótce miłe spotkanie.

● WAGA (23 IX—22 X) Zgoda na sprawę, która od jakiegoś czasu toczy się wokół ciebie, będzie pewną rezygnacją wobec planów na najbliższe dni. Jednak posunięcie to będzie słuszne i szybko zacznie dawać korzystne efekty.

● SKORPION (23 X—22 XI) Zmiany w bliskim otoczeniu, chyba zawodowym, mogą cię zaskoczyć. Staraj się tego nie okazywać. Najpierw warto przyjrzeć się dokładnie nowej sytuacji. Dopiero potem, gdy wyrobisz sobie jako taki pogląd, wyraż swoje zdanie.

● STRZELEC (23 XI—21 XII) Częste rozmowy na jeden, ważny teraz temat, mogą sprawić, że atmosfera stanie się napięta. Spróbuj ją rozładować. Czyjaś dodatkowa interwencja może być niechętnie przyjęta, więc nie daj się ubiec.

● KOZIOROZEC (22 XII—20 I) Sytuacja dość napięta. Zrobiony przez ciebie krok do zgody, jeśli będzie pierwszy, może wszystko błyskawicznie naprawić. Zyskasz przy okazji uznanie dla swego postępowania w tak nietatwej sprawie.

● WODNIK (21 I—18 II) Wiele inicjatyw teraz podjętych, warto traktować poważnie. I kontynuuj je nie zważając na czyjeś grymasy i kręcenie nosem. Bo to nie będzie szczere. I racje, i szanse — są po twojej stronie.

● RYBY (19 II—20 III) Wspomnienia niedawnych przeżyć będą ci towarzyszyć w tych dniach. Szczególnie pewna rozmowa, usłyszanego w niej słowa na swój temat, długo będą tkwiły w twojej pamięci. Spróbuj kontynuować ten związek, przyjaźń czy znajomość...

CO GDZIE KIEDY?

KINA

GŁOGÓW — Jubilat — do 28 bm.: „Piramida strachu” (USA); „W imię przyjaźni” (fr.), od 29 bm.: „Kogel mogel” (pol.); „Podejrzany” (USA); Zodiak — 26-27 bm.: „C.K. dezerterzy” (pol.) cz. I i II; 28-30 bm.: „Pluton” (USA).

LEGNICA — Ognisko — 24-30 bm.: „Czarownice z Eastwick” (USA), wideo 24-25 bm.: „Thais” (pol.) 30-31 bm.: „Rajska jabłoń” (pol.); Piast — 24-30 bm.: „Mitose, szmaragd i krokodyl” (USA); „A statek plynie” (włoski); „Malone” (USA); Kino Małego Widza — 24-30 bm.: „Harry i Hendersonowie” (USA).

LUBIN — Muza — od 23 bm. do 4 IX: „Rambo I” (USA); poranki w niedzielę o godz. 11.00: — Polonia — 24-27 bm.: „Akt zemsty” (USA); „Czarna wdowa” (USA); „Powrót do przyszłości” (USA), od 29 bm.: „Zaginiona księżniczka” (czech.); „W imię przyjaźni” (franc.).

POLKOWICE — Skarbnik do 28 bm.: „Tajemniczy upiór” (węg.); „Fatalne zauroczenie” (USA), od 29 bm. do 4 IX: „Narzęczona księża z Krainy Soli” (czech.); „Akt zemsty” (USA).

DOMY KULTURY I KLUBY

GŁOGÓW — MOK — zaprasza dzieci i młodzież na zajęcia wakacyjne: w czwartki i piątki na dyskoteki o godz. 17, codziennie na filmy wideo o godz. 12.00, oraz gry, zabawy i konkursy — codziennie w godz. 10-15.

MUZEUM — proponuje obejrzyć ekspozycje stałe: „Cywilizacja w anatolijskiej fotografii”, „Narzędzia wymiaru sprawiedliwości w średniowieczu”, „Dzieje miast i Księstwa Głogowskiego”, pora

OGŁOSZENIA

PRACA

ZAKŁAD Rzemieślniczy Kotlarstwo i Slusarstwo, Krzeczyn Wielki 42 zatrudni spawaczy. Bardzo dobre warunki placowe. 1268-p

MATRYMONIALNE

INSTYTUT Matrymonialny, Zary, skrytka 65 poleca oferty krajowe, zagraniczne. 1152-p

nerowa wystawa archeologiczna oraz „Museum Ody”.

GALERIA BWA „NAD STUDNIĄ” zachęca do obejrzenia wystawy grafiki. Prace swoje wystawiają m.in. Seiji Kamachi (Japonia), Walenty Kowaczew (Bulgaria), Marta Tepi (Argentyna), Barbara Licha (Australia) oraz wielu polskich grafików.

LUBIN — KMPIK — do końca bm. proponuje wystawy: ceramiki Ryszarda Kamalę i Wojciecha Teżyckiego oraz rzeźby Mirosława Trochanowskiego i Bronisława Dolinskiego.

Ośrodek Nauczania Języków Obcych przy KMPIK-u przypomina, że od 4 IX przyjmować będzie zapisy na półintensywne kursy języków: angielskiego, francuskiego i niemieckiego. Tel. 444-107, 442-502.

DKZM — Bułgarski Ośrodek Kultury i Informacji ogłosił Ogólnopolski Konkurs Fotograficzny pn. „Ludzie i pejzaże Bułgarii”. Zestawy prac do 12 sz. diapozytów lub do 12 sz. odbitek czarno-białych albo kolorowych, należy nadsyłać do 1 IX 89 r. pod adresem: Dom Kultury Zagłębia Międzywskiego, ul. Armii Czerwonej 1, 59-300 Lubin. Wszelkie informacje tel. 44-18-37.

DK „ZURAW” — oganizuje giełdy sprzętu wideo — w soboty w g. 10-13 — zaprasza młodzież na dyskoteki — we wtorki, środy, piątki, soboty i niedziele o godz. 18.

CHOJNOW — chojnowskie Muzeum Regionalne eksponuje interesujące grafiki Mirosława Steca pn. „Turystyczne spotkania z architekturą”.

LEGNICA — „CZARNA GALERIA” BWA — do 10 IX trwa wystawa prac artystów złotników „Srebro '88”.

